

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



GABRIELA ZAPOLSKA

**Z pamiętników
młodej mężatki**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000



22 października

Od trzech dni jestem młodą mężatką. Zdaje mi się, że jestem pogrążona we śnie. Chodzę po mieszkaniu, które jest moim mieszkaniem, a ciągle mam uczucie, jakbym spała i nie mogła się rozbudzić dostatecznie. Ubrana jestem w jedną z moich panieńskich sukienek, gdyż mój mąż zdecydował, że wyprawnego szlafrocza szkoda. Przykro mi było trochę schować go do szafy, bo cieszyłam się, że będę mogła chodzić po pokojach w tureckim szlafroku z trenem i na jedwabnej podszewce. Nie chcę się jednak Julianowi sprzeciwić, gdyż i tak wiedziałam, że nie był kontent, gdy wydobywałam z kufrów moją wyprawę i na srebro strasznie głową kręcił. Jego matka, oglądając moją bieliznę, zapytała mnie:

– Czy to perkalowa?

Zawstydziłam się strasznie, bo sama nie wiem, czy rzeczywiście moja wyprawna bielizna jest perkalowa lub płócienna. Wiem to jedno, że rodzice dali mi co mogli i ile mogli. Tak samo i posag. Nie wiem, czy ułożyli się z góry z Julianem, ile mu za mnie dadzą, ale boję się bardzo jego niezadowolenia. To dziwna rzecz! Zaledwie trzy dni mój mąż jest moim mężem, a zaczynam się go bać nie na żarty. Zresztą i dawniej, przed ślubem – kiedy się jeszcze o mnie starał – bałam się go ciągle. Właściwie nie bałam się jego samego, ale jego niezadowolenia. A on był ciągle niezadowolony i tak badawczo po wszystkich kątach patrzył kiedy siedział przy stole i niby ze wszystkimi rozmawiał. Ja z nim rozmawiać nigdy nie mogłam, bo nas samych nigdy nie zostawiali w pokoju. Jak nie było mamy, to była moja młodsza siostra, Kazia. Myślałam, że jak za mąż za niego już pójdę, to będziemy mogli nagadać się do woli. Ale to jest jakoś inaczej niż ja przypuszczałam. Ciągle się Juliana boję, coraz więcej i nie mam z nim o czym mówić. Może później będzie inaczej.



6 listopada

Mam co dzień wielkie zmartwienie. Wieczorem muszę dysponować obiadem i nie wiem, co wymyślić. Julian dużo rzeczy nie lubi, a ja w domu nigdy się tym nie zajmowałam. Mama mówiła, że dobrze wychowana panna nie powinna się mieszać do spraw kuchennych i gniewała się na mnie, kiedy raz piekłam sobie zajaczkę i krzeselka z kawałka surowego ciasta, które mi dała kucharka. A przecież teraz chciałabym bardzo znać się na kuchni. Magdalena, nasza służąca do wszystkiego, nieszczerólnie gotuje i widzę, że Julian jest w coraz gorszym humorze, kiedy siada do obiadu. Ażeby tylko nie widzieć jego kwaśnej miny już chętnie poszłabym do kuchni jak jakaś Niemka i dopilnowałabym Magdaleny... ale cóż, ona od razu się pozna, że na niczym się nie znam i przestanie mnie szanować. Już i tak wczoraj zapytała mnie: „Czy pani każe wziąć pierwszą krzyżową?” Odpowiedziałam: „Naturalnie, moja Magdaleno! Naturalnie!” Ale nic nie wiem, co to za pierwsza krzyżowa. Wiem, że są gamy krzyżowe i bemolowe, ale o mięsie nie mam najmniejszego pojęcia. – Wczoraj nagle przy obiedzie Julian zapytał, czy moja mama chodziła w piątek na miasto. Zmarszczyłam brwi i odpo-

wiedziałam, że nie. Parsknął śmiechem i rzuciwszy na stół serwetę, zawołał: „byłem tego pewny!” Z trwogą pomyślałam, czy to nie jest aluzja do skłonienia mnie do chodzenia z Magdaleną na targ piątkowy. Jeszcze by tego brakowało! Mama mówiła, że przekupki nie lubią pań na targu i mówią umyślnie brzydkie wyrazy, żeby oduczyć panie od chodzenia razem z kucharkami na targ. A zresztą nie mam odpowiedniego ubrania. Mam nowy żakiet i ładną pelerynę, przecież w tym po targu chodzić nie będę.



9 listopada

Dziś Julian, wychodząc do biura, zapowiedział mi, że wieczorem pójdziemy do teatru Rozmaitości. Bardzo się z tego cieszę, bo wieczorami siedzimy w domu, czytamy Kurier, a potem on chodzi wkoło stołu, a ja sama nie wiem, co robić z sobą. Julian nie jest zły, ale ma charakter pochmurny i usposobienie wcale niewesołe. Skoro wchodzi do domu, to się robi zimno, jakby nagle ktoś na zawieruchę drzwi otworzył. Jest podobno przystojny i moje kuzynki zachwyciły się nim przed moim ślubem. Dla mnie Julian jest za wysoki, zanadto imponujący, chodząc, butami skrzypi i je w sposób, który mnie szalenie denerwuje. Ja przy nim wyglądam jak szczur, bo jestem drobna, mała, chuda i mam cerę śniadą. Kupiłam sobie przez służącą w aptece pudru, ale to nic nie pomaga, bo puder się nie trzyma. Mama nie pozwoliła mi się pudrować, choć sama pudrowała się w sekrecie. Julian ma bardzo ładną cerę i prześliczne ręce. Chwilami zdaje mi się, że Julian na mnie patrzy z niezadowoleniem i wtedy zimno mi i czuję się bardzo smutna. Wiem, że nie jestem bardzo ładna, ale przecież byłam taka sama przed ślubem, a nawet jeszcze brzydsza. Sam mi się pierwszy oświadczył i to nagle, przy drugim spotkaniu. Stawaliśmy właśnie do kadryła. On był najszykowniejszy ze wszystkich mężczyzn tam zebranych i wszyscy mówili, że to bardzo dobra partia. Wiedziałam, że inne panny zazdroszczą mi, że właśnie on ze mną ciągle tańczy i najwyraźniej mi asystuje. Zapytał mnie, czy upoważniam go do częstszego bywania w domu moich rodziców. Powiedziałam „tak”, ale bez żadnej myśli przyrzeczenia mu mej ręki, i zaraz tak on, jak wszyscy, zaczęli uważać go za mego narzeczonego. Ojciec nie chciał go mieć za zięcia, we mnie obudził się duch przeciwności – i zostałam żoną Juliana. Wszyscy unoszą się nad nim, że to bardzo porządny człowiek. Nie pije, nie pali i w karty nie gra. Ciotki moje były nim zachwycone. Ja nie wiem, co o nim myśleć. Jestem głupia i Julian jest dla mnie widocznie za poważny. Myślałam, że się będziemy kochali, ale widać w małżeństwie miłość inaczej wygląda. Zresztą, może ja go kocham. Przynajmniej powinnam go kochać, bo przysięgam mu miłość do śmierci. Postaram się go kochać poważnie i rozsądnie. Tylko tak jakoś smutno!... tak jakoś bardzo smutno!



20 listopada

Z obiadami coraz gorzej. Magdalena się zaniedbuje i nigdy obiad nie jest na oznaczonej godzinie. Jest to główny punkt niezadowolenia Juliana. Zaczęłam już sama chodzić do kuchni, ale Magdalena się rozgniewała i powiedziała mi: „Niech mi pani nie nadeptuje na pięty”. Odpowiedziałam jej zaraz: „Niech się Magdalena nie zuchwali”, ale ona obraziła się na dobre i

przystała obiad gotować. Złękłam się bardzo i poszłam do pokoju, gdzie siedziałam całe pół godziny płacząc. Potem wzięłam kieliszek wódki i zaniiosłam Magdalenie do kuchni, żeby ją udobruchać. Wypiła i odwróciła się do mnie tyłem. Obiad był o godzinę później, a kotlety zupełnie spalone. Magdalena powiedziała Julianowi, że to „bez panią”, a Julian, uśmiechnąwszy się cierpko, odrzekł: „Wiem, że mam w domu... lalkę”. Mnie łzy puściły się z oczu strumieniem i pobiegłam zamknąć się w swoim pokoju, gdzie siedziałam bez lampy i świecy cały wieczór. Tylko od latarni gazowej padało światło na podłogę. Ja ciągle płakałam nie tylko o tę historię obiadową, ile, że mi taki ból i smutek w piersi wezbrał i razem z tymi łzami zdawał się spływać z moich oczu. Myślałam, że duszę z siebie wypłaczę. O ósmej posłyszałam jak Julian wychodził z domu. Pierwszy to raz po ślubie zostawił mnie wieczorem samą. Zrobiło mi się bardzo strasznie w tym pustym mieszkaniu. Bałam się wstać i poszukać zapalek. Na przeciwko zaczęli grać na fortepianie i to mnie dobiło... Zaczęłam znów płakać i osunęłam się aż na podłogę, tak mnie łkania dusiły. Wołałam po cichu: „wody! wody!” a przecież to było głupio z mej strony, bo nikt mnie nie słyszał i słyszeć nie mógł. Później wstałam, rozebrałam się i położyłam spać. Podobno pierwsze miesiące po ślubie nazywają się... miodowymi miesiącami! Czy to być może? Czy to być może!



Nazajutrz

Julian powrócił dość późno i pogodził się ze mną na dobranoc. Jestem kontenta, że się już na mnie nie gniewa, ale zarazem forma pogodzenia zrobiła na mnie dziwne wrażenie. Poczulałam się upokorzona. Zdawało mi się, że ja muszę pogodzić się z tym człowiekiem, że mnie nie wolno zasnąć rozgniewanej, że on w formie żartobliwej każe mi być dla siebie uprzejmą i zarzucić sobie ręce na szyję. Gdy doszło już do tego, że przyciągnął mnie do siebie i zaczął całować, zamknęłam oczy, bo mi wstyd było za siebie samą, że nie mam odwagi powiedzieć mu: „Nie chcę twych pieszczot, serce mnie boli”, że jak manekin w jego rękach jestem bezsilna i głupia, bez chęci, bez woli, bez możliwości pozostania na chwilę samej ze smutkiem moim.



25 listopada

Przypomniałam sobie, że jako mężatka, mam już prawo czytać nieprzyzwoite książki i postanowiłam zaabonować je w pierwszej lepszej czytelnicy. Tylko na to trzeba się odważyć wyjść samej na ulicę. W domu nie wolno mi było wychodzić samej. Zawsze wychodziłam z mamą, a już w najgorszym razie ze służącą. Może by wziąć z sobą Magdalenę? Sama nie wiem. Chciałabym się zapytać Juliana, ale boję się...



26 listopada

Dziś Julian, wychodząc do biura, powiedział mi, że od pierwszego będzie mi dawał 60 rubli na domowe miesięczne wydatki i że to mi powinno wystarczyć do końca miesiąca. On opłaci mieszkanie, kupi węgiel i zapłaci słudze. Nie wiem, czy to mało, czy dużo te 60 rubli miesięcznie. Nie odpowiedziałam mu nic, bo nie chciałam, żeby zrozumiał, że ja pod tym względem jestem bardzo głupia. Poszłabym do mamy zapytać się, czy to wystarczy na miesiąc, ale mama nie bardzo chętnie godziła się na moje małżeństwo i mówiła do ojca: „Jeżeli będą biedę klepać, to ja ręce umyвам”. Więc po co mama ma wiedzieć, co ja dostaję od Juliana na miesięczne wydatki? Niech lepiej nikt nie wie, jak mi jest. Kłamka zapadła, nic już się nie zmienia. Sześćdziesiąt rubli miesięcznie to dwa ruble dziennie. Będąc panną, nigdy w życiu tyle pieniędzy w ręku nie miałam. Zaabonuję nieprzyzwoite książki, kupię sobie kawioru, dam trochę pieniędzy biednym na intencję dobrego z Julianem pożycia i zafunduję sobie lepszy puder. Mówią, że Welutina to bardzo dobry puder.



27 listopada

Żeby już ten pierwszy jak najprędzej przyszedł i żebym już miała te pieniądze w ręku!



29 listopada

Dziś jeździliśmy z wizytami: byliśmy w dziewięciu domach. W jednym nas wcale nie przyjęli, lokaj wziął bilety, poszedł i wróciwszy powiedział, że państwo wyszli. To nieprawda, ja to dobrze czułam, bo Julian był taki zły wsiadając do karety, że zaczął na mnie krzyczeć bez najmniejszego powodu i wyrzekać, że kareta drogo kosztuje. Siedziałam w kącie cichutko i tylko trzęsłam się cała ze zdenerwowania, tak mnie ten dzień strasznie zmęczył. Ci wszyscy państwo, u których byliśmy, to byli przeważnie znajomi Juliana z kawalerskich czasów. U nas w domu bywali sami krewni i taka tam „zbieranina”, jak Julian powiedział, więc tam nie warto było jechać. Tylko, że znajomi Juliana przyjmowali nas jakby niechętnie.

W dwóch domach były panny na wydaniu. Patrzyły na mnie ironicznie. Szczególnie Iza Troicka, wysoka, ładna blondynka, bardzo umalowana i w wyzywającej czerwonej bluzce. Zaraz gdy weszliśmy, zaczęła się chichotać z moim mężem i zaciągnęła go ze sobą do framugi okna za firanki. Tam rozmawiali i śmiali się półgłosem: nigdy nie widziałam mojego męża w takim dziwnym usposobieniu. Był jakby zmieszany i zadowolony. Gładził ciągle wąsy i patrzył na Izę spod przymrużonych powiek. Ja, siedząc na kanapie z panią Troicką, starałam się udawać, że nie widzę i nie zwracam uwagi na tych dwoje, ale mimo woli widziałam ich doskonale, a także i odbicie ich powtórzone w lustrze, które wisiało na bocznej ścianie nad konsolą. Uderzyło mnie to, że Iza i mój mąż są naprawdę do siebie podobni. Oboje mają złote

włosy i silnie akcentowane profile, ładne różowe usta i oboje umieją patrzeć dziwacznie spod przysłoniętych powiek. Choć u mojego męża to spojrzenie ma pewien odcień złośliwości, podczas kiedy panna Iza patrzy zupełnie chłodno. Rozmawiali półgłosem, niektóre jednak urwane zdania dolatywały do moich uszu.

Nagle Iza wyrzekła:

– Nie, teraz już wszystko skończone...

Mój mąż śmiać się zaczął i posłyszałam tylko zakończenie jego odpowiedzi:

– ... przeciwnie, teraz nabierze uroku!

Iza odparła:

– Jak dla kogo!

I szybko zbliżyła się ku nam. Idąc, szeleściła jedwabiem podszewek. Mnie ten szelest i zbliżenie się Izy zmieszały niewymownie. Czułam, że się czerwienię i byłam zła na siebie, bo nie tylko Iza, ale i mój mąż patrzyli na mnie. We wzroku Izy malowała się najwyraźniej pogardliwa litość. Rzeczywiście, w porównaniu z nią byłam niezgrabna i brzydka. Dziwiło mnie, że tak piękna panna do tej chwili za mąż nie wyszła. Gdy wyszliśmy od Troickich, powiedziała to Julianowi. Zaczął się śmiać i odpowiedział:

– Iza nie ma posagu, a poza tym to nie jest panna, którą można wziąć za żonę.

Poczułam się oburzona, że mnie w takim razie do tego domu wprowadził i zebrał się na odwagę, zrobiłam mu z tego powodu wymówkę. Przestał się śmiać, zmarszczył brwi i powiedział mi:

– Głupia jesteś.

Już po raz drugi nazwał mnie głupią.

Pierwszy raz kiedy się zapytałam, czy... Później pojechaliśmy do dwóch zwierzchników biurowych Juliana, ale tam nie było nikogo w domu. Ja byłam bardzo kontenta, bo jestem nieśmiała i takie wizyty dużo mnie zdrowia kosztują. Aż wreszcie spotkała nas ta nieprzyjemność, że nie przyjęto nas u państwa Okszów–Jarzębskich, których mój mąż poznał u wód w Galicji, gdy jeździł leczyć się lat temu kilka. Ci państwo muszą być bardzo bogaci, bo w przedpokoju było ładniej niż u nas w saloniku, a nawet niż w salonie moich rodziców. Lokaj miał taką minę zuchwałą i patrzył na nas z góry, a na ścianach wisiały wszędzie portierey w pasy, w guście wschodnim. Kiedy wyszliśmy stamtąd i wsiedli do karety, jechaliśmy jeszcze ulicą Bracką w stronę mieszkania moich rodziców, ale Julian nagle zatrzymał karete i zawołał do mnie:

– Wsiadź!

Wsiadłam natychmiast, bo cóż miałam zrobić?

Julian dorzucił:

– Idź na trotuar.

Poszłam, podnosząc z trudnością suknię, bo ciężka i powłóczysta. Z trotuaru widziałam, jak Julian odprawił karete i zawołał jednokonną dorożkę. Aż mi łyzy stanęły w oczach, kiedy dorożka podjechała i Julian kazał mi do niej wsiąść. Miałam nowy kapelusz, nową pelerynę, jasne rękawiczki i jedwabną suknię. Byłam bardzo wystrojona i trochę upudrowana. Wstyd mi było jechać dorożką. Dorożkarz był obszarpany, siedział krzywo na koźle i koń był chudy, okropny i biały. Nigdy w życiu nie jechałam taką dorożką, bo mama się wstydziła wsiąść do podobnej dryndy i zawsze albo się brało powóz, albo się szło pieszo, choć nogi nieraz strasznie bolały.

Julian widział, że mi to przykrość sprawia i powiedział nadąsanym głosem:

– Twój ojciec nie dał mi tyle posagu, byśmy mogli rozbijać się powozami...

Nie odpowiedziałam mu nic, ale w głębi mojej duszy nagle odezwało się coś, co już nie było tylko żalem. To było coś silniejszego, tak jakby jakaś głucha nienawiść, a może tylko niechęć. Sama nie wiem.



1 grudnia

Dziś dostałam pieniądze. Nie wiem, gdzie je schować, by mi ktoś nie ukradł. Wydałam już cztery ruble do obiadu i sama nie wiem na co. Muszę kupić książeczkę i zapisywać wydatki. Jutro rano wyjdę sama na ulicę.



2 grudnia

Byłam dziś sama na ulicy. Nie załatwiłam jednak żadnego sprawunku. Kiedy wyszłam, zdawało mi się, że się wszyscy na mnie patrzą i palcami pokazują. Jednak dużo samych kobiet chodzi po ulicach, a nawet widziałam bardzo młodziutkie dziewczynki, jak szły same i nie wstydziły się wcale. Czułam mocno, że ubrałam się niewłaściwie i byłam zanadto wystrojona, choć wzięłam na głowę moją kapotkę z fioletowymi skrzydełkami, ażeby wyglądać poważniej. Mieszkamy na ulicy Hożej, a gdy doszłam do Alei Jerozolimskich, byłam czerwona jak upiór, tak mi krew biła do głowy. Żałowałam, że nie było po drodze jakiegoś kościoła, bym mogła schować się choć na chwilę. Nie wyobrażałam sobie, że tylu ludzi po ulicach chodzi i tak ordynarnie potrącają. Może to ja ze zmieszania szłam tak niezgrabnie, ale boki miałam zupełnie obolałe. W dodatku zerwał się wichur i ciągle miałam pelerynę na głowie. Kapelusz mi się przekręcił na bakier, szłam przed siebie jak błędna. Z początku starałam się mieć pewną siebie minę, ale powoli straciłam możliwość kierowania swoją wolą. Prosiłam tylko ciągle Boga, abym nie spotkała kogoś ze znajomych. Nagle na rogu Chmielnej ktoś mi się uklonił. Kto, nie wiem. Widziałam tylko, że to był mężczyzna, lecz właśnie wtedy wiatr założył mi na głowę pelerynę, a kapelusz zsunął mi się na oczy. To mnie dobiło. Z rozpaczki kiwnęłam na przejeżdżającą dorożkę i wsiadłam do niej. Gdy już wsiadłam, przypomniałam sobie, że mama mówiła, iż najnieprzyzwoitszą rzeczą dla kobiety jest jechać samotnie dorożką i że tylko kobiety lekkiego prowadzenia można widzieć siedzące same w dorożce. Kazałam więc podnieść budę dorożkarzowi pomimo, że pogoda był piękna. Spojrzał na mnie jak na wariatkę. Ponowiłam mój rozkaz, starając się o ile możliwości być stanowczą, choć w duszy widziałam, że ze mnie drwił. Gdy podniósł budę, zapytał, czy i fartuch ma odpiąć.

– Nie! – odparłam bardzo zirytowana. Pojechaliśmy, ale on jakby na złość jechał bardzo wolno i tuż koło chodnika. Ja wtuliłam się w sam kąt dorożki i nie śmiałam mu powiedzieć, żeby jechał prędzej. Wreszcie dojechaliśmy do domu. Dałam mu trzydzieści kopiejek, myśląc, że go zdziwię taką hojnością. Ale on splunął i... nawymyślał mi od ostatnich. Nie wiem, czy tak prędko wyjdę sama.



8 grudnia

Siedzę wieczorem sama i z nudów zabrałam się znów do pisania. Julian od czasu do czasu wychodzi wieczorami z domu i wraca zwykle przed dwunastą. Mówi, że idzie do kolegi na karty. Jeżeli mam być szczerą to nawet wolę gdy on wyjdzie, bo ile razy siedzi ze mną wieczorem sam na sam, to wpada w bardzo zły humor. Rzecz szczególna. Skoro tak siedzimy przy stole, na którym się pali lampa, ja z robotą, a on z Kurierem w ręku, to zawsze mi się zdaje, że my nie jesteśmy małżeństwem, ale że *udajemy* małżeństwo. Grałam kiedyś w teatrze amatorskim młodą mężatkę i tak samo siedziałam na scenie przy stole, na którym paliła się lampa, przyćmiona żółtym abażurem. Mojego męża grał wówczas pan Marian, brat pana Adama. Sam pan Adam był pomiędzy publicznością. Czy ja powinnam nawet wspominać o nim teraz, kiedy jestem już żoną Juliana? Obowiązkiem moim jest myśleć tylko o moim mężu. Wiem, czuję to... A jednak!...



Godzinę później

Jak ten deszcz jesienny po szybach łopocze, jakby nietoperz chciał wlecieć do mieszkania. Wstałam od stołu i poszłam do okna. Szyby zawilgocone i widzi się przez mokrą zasłonę. Śnieg jeszcze nie pada, tylko deszczy i na ulicach srebrzą się małe kałuże błota. Na rogu pali się latarnia, koło niej stoi dorożka i na szkle jej latarki można przeczytać wyraźnie cyfrę 1313. Dwie trzynastki! Dwie trzynastki uparcie świecą się przede mną!

Na rogu jest szynk i dziwna rzecz, ściany są w nim pomalowane na niebiesko, bo przez szyby całe wnętrze wydaje się błękitne, jakby tam ktoś księżyc zawiesił. Tylko gdzieś w oddali jakiś żołnierz gra na piszczałce kilka taktów wiecznie jednej i tej samej piosenki. Żołnierz siedzi na progu koszar i gra, gra bez ustanku, aż mi się smutno robi. Odeszłam od okna, bo czułam, że mi się na łzy zbiera. Poszłam do komody i powoli wyciągnęłam spod bielizny aksamitne pudełeczko. Są tam moje panieńskie pamiątki. Nie mogłam się z nimi rozstać, choć czuję, że popełniam tym zły postępek przeciw memu mężowi. Co jednak począć! Zdaje mi się, że to pudełeczko to trumienka ze wszystkim, co jest we mnie najdroższe i najlepsze w życiu. Jakże to spalić? Przecież tam jest mój pierwszy rachunek sumienia, kiedy szłam po raz pierwszy do spowiedzi. Jest to żółta i zabrudzona już karteczka, a na niej dużymi literami wypisane wyraźnie moje grzechy, cyfrą i literami. Moje grzechy! Czytam je i uśmiecham się – ja, mężatka, z grzechów moich, dziecka:

Nr 3. Byłam łakoma.

Nr 4. Biłam się z moim bratem.

Nr 5. W kościele myślałam o czym innym.

A potem ten największy, najcięższy grzech mojego dzieciństwa:

Nr 23. Byłam w pretensjach.

To dziwne. Będąc dzieckiem i panienką „byłam w pretensjach”. – Po wyjściu za mąż, przestałam „być w pretensjach”. Pudruję się tylko, gdy wychodzę na ulicę, ale w domu dozieram stare panieńskie sukienki i jest mi to obojętne, jak wyglądam. Z początku chciałam ubierać się staranniej ze względu na Juliana, ale on nie lubi, kiedy się porządne rzeczy na co

dzień „niszczy” i sam chodzi w starym zaplamionym szlafroku i przydeptanych pantoflach. Złożyłam rachunek sumienia i zaczęłam przeglądać inne drobiazgi. Są tam moje cenzury i patent z ukończenia pensji, kilka wierszyków, przepisanych ręką mojej koleżanki, Wandzi, fotografia Wolskiego, w którym się bardzo kochałam mając lat czternaście. Zobaczyłam go jednak raz w cukierni przed świętami Wielkanocnymi, gdy poszłam z mamą obstałować mazurki. Odkochałam się w nim, bo miał katar i na nogach duże kalosze. Ale fotografię schowałam, bo zapłaciłam za nią bardzo drogo Wandzi, która kochała się w Nowickim i od swego brata dostała fotografię obu aktorów. Wandzia była bardzo łakoma, a że ja na drugie śniadanie miałam prawie zawsze bułkę z konfiturami, więc umówiłyśmy się, że ona mi da Wolskiego, a ja przez cały miesiąc oddawać jej będę moje śniadanie. I oddawałam heroicznie, tłumiąc głód, szczęśliwa, że choć w ten sposób zdołam dowieść Wolskiemu, jak wielkie jest dla niego moje uczucie...

Pudełeczko stoi ciągle otwarte przede mną. Oto zeschnięty maleńki bukietek. Pamiątka z mego pierwszego balu, jakkolwiek nie bawiłam się na nim szalenie. Tańczono ze mną średnio–proporcjonalnie. Inne panny tańczyły więcej. Były piękniejsze i prawdopodobnie miały więcej posagu. Oto strzępek tiulu sukni, którą miałam na sobie tego wieczoru. Byłam ubrana na niebiesko. Nieładnie wyglądałam. Wiedziałam o tym sama.

A tu znajduję pod ręką kawałek białej atlasowej wstążki. To pamiątka po moim małym braciszku. Gdy był w trumience, odciałam mu tę wstążeczkę od czepeczka. Wyglądał jak lalka woskowa w świetle gromnic. Tego braciszka nie bardzo w domu kochano. Zapewne dlatego, że był ciągle słabowity i płakał bezustannie. Ja go tuliłam i nosiłam ciągle na ręku. I tak raz mi na rękach umarł. Myślałam, że zasnął i chodziłam z nim ciągle po pokoju, podczas gdy mama i niania zdrzemnęły się trochę. Później, gdy się przekonałam, że trzymam na ręku trupa, bardzo się przestraszyłam i zaczęłam krzyczeć. Cóż dziwnego! Byłam głupia. Miałam wtedy czternaście lat. Właśnie odkochałam się w Wolskim.

Wiatr ciągle tłucze w szyby, deszcz pada z łoskotem, głuszac piosenkę, którą gra na piszczałce żołnierz, siedzący na progu koszar.

Co też jest jeszcze w tym aksamitnym pudełeczku?

O! Kawałek zeschniętego, czarnego chleba.

To cała historia, długa historia. Powinnam ten chleb wyrzucić, tak jak i tę zeschniętą gałązkę cierniową i jak tę rękawiczkę...

To pan Adam! Pan Adam odżywa cały – zmartwychwstaje. Nie powinnam, czuję, że nie powinnam, a przecież nie mogę. W panu Adamie nie kochałam się tak jak w Wolskim – o! Zupełnie inaczej. Zresztą miałam już lat siedemnaście, byłam prawie dorosłą panną. Za pana Adama chciałam pójść za męża, ale pan Adam był tylko posesorem, więc mnie za niego nie dali i tyle robili, że przestał u nas bywać. Prawda, że on był trochę niezgrabny i mrukliwy, ale mnie się bardzo spodobał i tak mnie do niego coś ciągnęło!

Poznałam go na wsi u mojej ciotki Zaruckiej, gdzie byliśmy z bratem na wakacjach. Z początku pan Adam nie zwracał na mnie uwagi i traktował mnie jak dziecko, bo też przedstawiłam mu się jak dziecko źle wychowane. Wlazałam na stół kamienny w ogrodzie i otrząsałam na siebie kwiat lipowy, który spadał na moją głowę, na ramiona, na mnie całą, jak grad motyli. Śmiałam się sama do siebie i nie widziałam, że jakiś nieznajomy mężczyzna stoi opodal. Gdy go spostrzegłam, zmieniłam się bardzo i zamiast zeskoczyć ze stołu, stałam ciągle na tym podwyższeniu, podczas gdy on z uśmiechem kłaniał mi się i przedstawiał. Przyjechał przed chwilą, powiedziano mu, że ciotka jest w ogrodzie i poszedł tam, znając dobrze drogę. Ja nie odpowiadałam. Niby nie patrzyłam na niego, ale od razu zauważyłam, że jest bardzo piękny, wysoki, że ma śliczne oczy i wąsy czarne jak atrament. Byłam kontenta, że włożyłam dnia tego swoją nową lila batystową bluzkę i powoli ochłonełam z przestachu. Gdy mi podał rękę i zszedł ze stołu, zdawało mi się, że mam zupełnie swobodną i naturalną minę. Odszukaliśmy ciotkę, która była bardzo zmartwiona, gdyż truskawki zupełnie się nie udały, lecz

mnie truskawki nie były teraz w głowie. Pobiegłam przejrzeć się w lustrze i uperfumować trochę.

Od tej chwili zaczęłam kochać się naprawdę w panu Adamie i powoli dokazałam tego, że i on zwrócił na mnie uwagę. I to była Jasna chwila w moim życiu. Trwało to trzy tygodnie... i zniknęło jak sen. Ach! Jak ten deszcz smutno o szyby kołacze! Jak smutno jesienią samej siedzieć w pustym mieszkaniu!

Pan Adam także zapewne siedzi tam sam w swoich Horodyszczach, a może... kto wie! Może i on już się ożenił? Siedzą pewnie we dwoje... bo na wsi nie można chodzić do przyjaciół na karty.

We dwoje!

On – z inną kobietą!

Jak mi się dziwnie na sercu robi: wszystko dokoła mnie niknie i blednie. Już późno – po dwunastej, Juliana jeszcze nie ma. Magdalena kuchnię sprząta. Poskładałam te drobiazgi i pójdę zrobić z nią rachunek. Wolę nie patrzeć na to wszystko. Zdaje mi się, że otworzyłam jakąś trumnę. Innym razem napiszę, co znaczy ten chleb i ta gałązka... Dziś już nie mogę, bo mi zanadto smutno, a przy tym rachunek trzeba zrobić? Po co ja właściwie ten rachunek robię, kiedy ja się na niczym nie znam. Magdalena mówi: – Mąki tyle, masła za tyle, pietruszka i włoszczyzna tyle...

Ja zapisuję i nie śmiem jej powiedzieć, dlaczego tak dużo, bo raz zwróciłam uwagę, że mi podała rybę, a ryby na obiad nie było. Ofuknęła się i zaczęła mówić: „Co to pani mnie ma za złodziejkę?” Wolę więc być cicho i nie chcę się z nią kłócić, bo mi Julian zapowiedział, że nie cierpi, kiedy się sługi zmieniają.

Gdybym ja się mogła dowiedzieć, co ile kosztuje. Podobno w Kurierku są podawane ceny artykułów spożywczych.

Trzeba będzie zobaczyć.



13 grudnia

Zajrzałam dziś do pieniędzy i przestraszyłam się, że mam tak mało. Muszę kupić sobie książeczkę i spisywać wydatki. To Magdalena tyle wydaje w mieście i czasem nagle ni stąd, ni zowąd przyjdzie mi jakiś wydatek. Ot, musiałam kupić dwa tuziny ścierek, bo przecież ścierek się na wyprawę nie daje. Wolę już sama kupować niż mówić Julianowi, który zaraz niepraktyczność moich rodziców i mojej wyprawy nicuje i często mnie tym do łez doprowadza.

W ogóle zdaje mi się, że Julian ma jakiś żal do moich rodziców i często wtrąca, że go oszukali. Czy to mowa o moim posagu? Boję się raz wyjaśnić tę sytuację, ale ciężko mi myśleć, że mąż mój patrzy na mnie jak na oszustkę. Gdybym wiedziała przed ślubem, ile mam posagu, powiedziałabym Julianowi śmiało i otwarcie. Ale cóż? Podobno pannie się nie mówi dokładnie, co i ile „za sobą” dostanie.

Chwilami ta kwestia posagowa dziwna mi się wydaje. Julian dawniej mieszkał w jednym pokoju i o ile wiem, jadał obiady w dość podrzędnej restauracji. Ożeniwszy się ze mną, mieszka w czterech pokojach i jada obiady względnie wykwintne, które mu jeszcze wydają się za skromne. Ja zaś, będąc panną, zajmowałam z rodzicami śliczny apartament przy ulicy Włodzimierskiej, osiem pokoi z balkonem od frontu. Jeździłam powozem (wprawdzie wynajętym, ale zawsze powozem) i bywałam w teatrze w łoży, a nie tak jak teraz... w krzesłach.

Julian więc na czysto *zarobił* na małżeństwie, ja zaś *straciłam*. I to on jest niezadowolony, a nie ja. Jemu się zdaje, że on jest mało zapłacony. Ale za co? Za co?



15 grudnia

Chodzę już po ulicach sama i nie wsiadam więcej do dorożki z podniesioną budą. Wczoraj śnieg upadł – biało było na ulicy i miałam wielką, ale to wielką ochotę przejść się trochę. Poszłam do matki Juliana. Jest to staruszka, zrujnowana obywatelka – i pozująca na damę. Mówi przeważnie po francusku i rusza ustami, jakby coś przeżuwała. Z Julianem nie jest w wielkiej zgodzie i wyglądają tak, jakby byli z siebie niezadowoleni. Podobno pani Szumiłło (tak się obecnie nazywam) ma dożywocie na jakichś okrucinach majątku, który Julianowi po ojcu pozostał. To jest podobno przyczyna obopólnej niechęci. Ja z panią Szumiłło jestem z daleka i ceremonialnie. Nie pociąga mnie, ale i nie odpycha. Jest zimna i obojętna i zdaje mi się, że ta kobieta nikogo kochać nie potrafi. Wracając do domu, przypomniałam sobie o nieprzyzwoitych książkach i zaczęłam szukać czytelnicy. Na Marszałkowskiej ulicy dostrzegłam duży szyld: *Czytelnia*. Po chwili wahania weszłam na dziedziniec i zaczęłam wstępować na schody oficyny, w której mieściła się czytelnia. Serce mi biło jak młotem, gdy weszłam do jasno oświetlonego pokoju. Na środku duży stół, przykryty ceratą, a na nim książki. Dokoła półki i cała masa grzbietów książek czarnooprawnych z białymi kartkami, na których napisano numery. Pod oknem mały stolik, na nim gazety. Przy tym stoliku siedziały jakieś dwie panie w kapeluszach i przeglądały dzienniki. Koło stołu stała niemłoda dama, ubrana czarno, w mitynkach, z włóczkową chusteczką na siwiejących włosach. Była podobna do mojej matki i to mnie od razu uderzyło i jeszcze więcej zmieszało. Na zapytanie, czego sobie życzę, prawie wybełkotałam, że chcę zaabonować książki. Dama zapisała moje imię i nazwisko, wzięła ode mnie pieniądze i wręczyła mi kwitek. Robiła to wszystko jak automat, grzecznie, ale niezmiernie stanowczo. Od czasu do czasu podnosiła swe jasnoniebieskie oczy i patrzyła na mnie badawczo i chłodno. Po czym podsunęła mi katalogi, mówiąc:

– Oto katalog polski, a to niemiecki, francuski i inne... Wzięłam machinalnie do rąk katalog polski. Od czasu do czasu słychać było tylko szelest gazety, przewracanej ręką jednej z dam, siedzących poza moimi plecami.

Czułam spojrzenie chłodnych, niebieskich oczu, utkwionych we mnie przenikliwie, i rozumiałam, że nigdy, nigdy nie odważę się poprosić tę damę o jakąś „nieprzyzwoitą książkę”.

Były one tam na półkach, tak blisko mnie, że potrzebowałam tylko rękę wyciągnąć, aby je dostać, a przecież dzieliła mnie od nich przepaść niemożliwa do przebycia. A zresztą, czy ja mogłam wiedzieć, jaki tytuł nosi taka książka, „której pannom czytać nie wolno”. A żeby jej zażądać, trzeba było umieć ją nazwać, a ja przecież tego wiedzieć nie mogłam.

I wzięłam „Dewajtysa” Rodziewiczówny, choć go umiem na pamięć.



16 grudnia

Od dziś zaczęłam zapisywać wydatki, ale niewiele mi to pomaga. Odkąd się już wyemancypowałam i wychodzę sama, wydaję coraz więcej pieniędzy i sama nie wiem na co. Mam

zaledwie dziesięć rubli, a tu do końca miesiąca daleko. Trzeba będzie powiedzieć Julianowi, że te 60 rubli to bardzo mało i nie może mi wystarczyć na wydatki domowe, tym bardziej, że kupiłam sobie z nich dwie woalki: jedną szafirową, drugą czarną, dwie sztuczki wstążeczki różowej do bielizny i pudełko porządnego pudru paryskiego, które samo kosztuje trzy ruble pięćdziesiąt kopiejek. Z tych pieniędzy muszę także rzucać kataryniarzom, którzy przychodzą na dziedziniec naszego domu, a wczoraj przyszła cała banda Czechów i musiałam im rzucić trzydzieści kopiejek. Było ich sześcioro i wstyd było dać im mniej. Trzeba będzie powiedzieć Julianowi o deficycie, ale mam duszę na ramieniu, bo jeden dzień nie przejdzie, żeby mój mąż nie narzekał na ciężkie czasy, na niepewność lokaty pieniędzy i tak dalej. Jest to ulubiony temat jego rozmowy: wiem teraz, że są jakieś numery hipoteczne i że towarzystwo kredytowe daje pieniądze na nieruchomości. Nie wiem nawet, jak mi to w ucho wpadło, bo zwykle gdy Julian mówi, ja myślę o czym innym i nie zastanawiam się nad treścią jego słów. On mówi sam w przestrzeń – i zadowala się dźwiękiem własnego głosu. Wczoraj jednak zauważył moje roztargnienie i wyrzekł słodko – kwaśnym tonem: – Radziłbym ci słuchać tego, co mówię i starać się zaznajomić trochę z interesami. Mogę umrzeć i ty pozostaniesz wtedy sama na pastwę i żer oszustów i wyzyskiwaczy.

Parsknęłam śmiechem, tak mi się wydała nieprawdopodobna myśl o śmierci Juliana. Zdrowsi, rosły, tęgi, on miałby umierać?

Lecz mój śmiech wydał mu się niewłaściwy i nieprzyzwoity.

Wstał z krzesła i zaczął chodzić dokoła stołu, skrzypiąc przeraźliwie butami.

– Nie chichocz się jak gęś! – wyrzekł opryskliwie – wiem, co mówię. Lekkomysłność i niezadanie masz we krwi, bo twoi rodzice przetracili dosyć pieniędzy i zrujnowali mnie swoim marnotrawstwem!

Podniosłam głowę i spojrzałam na niego zdziwiona.

– Zrujnowali ciebie? – zapytałam po chwili.

– Spodziewam się – odparł: – byłem bardzo dobrą partią i mogłem, żeniąc się, zrobić trochę lepszy interes.

Chciałam zapytać się go: „byłeś więc do sprzedania?” – ale pytanie to zamarło mi na ustach.

Słyszałam tak często moich rodziców kłócących się ze sobą i to zwykle w kwestiach pieniężnych, że rada bym odsunąć tę konieczność sprzeczek jak najdalej z naszego pożycia. Widać jednak, że to będzie trudne, bo w każdej chwili zaczepiamy się o tę przeszkodę pieniężną, o którą rozbijają się nawet moje najlepsze chęci i postanowienia.



17 grudnia

Julian mówi mi często, że jestem „głupia”. – To dziwne! Na pensji i w domu uchodziłam za bardzo inteligentną.



19 grudnia

Prawie wszyscy ci, u których byliśmy z wizytą – rewizytowali nas. Nie przyjechałam jednak nikogo, bo wszędzie, gdzie byliśmy, urządzenie domu było daleko kosztowniejsze i piękniejsze niż u mnie. Przy tym – nie umiem przyjmować gości, bo u rodziców wychodziłam do salonu jak lalka nakręcona i siadałam na krzeselku tak, jak inni goście, nie zajmując się niczym. Zresztą nie mamy lokaja, a Magdalena, wiecznie zasmolona i nadaśana, gdy otwiera drzwi, wcale mi zaszczytu nie przynosi. Wczoraj jednak musiałam przyjąć panie Troickie, gdyż spotkałyśmy się w drzwiach wejściowych i nie mogłam powiedzieć, tak jak zwykle, że mnie nie ma w domu, jakkolwiek wołałabym przyjąć wszystkich poprzednich gości niż te dwie kobiety. Trudno jednak było wyśliznąć się, gdyż spotkałyśmy się *bec a bec* z panną Izą, która powitała mnie ironicznie, zimno i protekcyjnie. Matka jej jest wiernym pierwowzorem córki, jakkolwiek w zachowaniu swym ma trochę więcej łagodnego wdzięku i wygląda jakby była zasmucona i zakłopotana. Gdy weszły do naszego saloniku, rozglądały się ciekawie. Iza przez lornetkę sztyldkretową na długiej rączce, jakkolwiek wzrok ma doskonały. Prosiłam by usiadły, ale zrobiłam to niezgrabnie, byłam cała czerwona i nie wiedziałam co zrobić z rękami. Na domiar złego, Magdalena zaczęła w kuchni siekać kotlety tak głośno, że здавало się, iż cały dom rozwali. Dziwna rzecz, jak obecność Izy mnie miesza i rozdrażnia. Szczególnie gdy zaczęła bardzo uprzejmie chwalić gust w urządzeniu mieszkania – nienawidziłam jej szczerze. Czułam bowiem, że kłamie, że wyśmiewa się ze mnie, gdyż mój „garnitur”, szafirową brokatelą kryty, jest bardzo biedny i wcale nie imponujący.

Nad kanapą wisi oleodruk, (mnie się on wcale nie podoba, ale Julian twierdzi, że ładny) – Iza zaczęła się przyglądać i wyrzekła do matki:

– Niech mama spojrzy, jaki to piękny oleodruk... a zwróciwszy się do mnie, dodała: – Pani lubi takie landszafty?

Tego mi było za wiele. Zrozumiałam całą ironię, jaką umieściła w wyrazie „landszaft”.

Nie wiem nawet, skąd zdobyłam się nagle na odwagę i odparłam:

– Przyznam się pani, że nie wiem, co to znaczy słowo landszaft. Używały go moje ciotki, ale nigdy nie przyszło mi do głowy zapytać, co to może znaczyć. Zresztą byłam wtedy jeszcze dzieckiem. – Twarz Izy pod malowidłem oblała się rumieńcem. Iza musi mieć co najmniej lat dwadzieścia pięć, ja zaś dziewiętnaście. Czułam, że to moja jedyna wyższość nad tą strojną i piękną panną. Instynktem kobiecym znalazłam broń i postanowiłam się nią bronić.

Lecz zmieszanie Izy niedługo trwało. Wstała z krzesła z szelestem jedwabnych podszewek i zaczęła niedyskretnie zaglądać do jadalnego pokoju.

– Czy zechce pani pokazać nam całe swoje gniazdko? – zapytała z nieporównanym wdziękiem w głosie.

– Iziu, jesteś niedyskretna! – upominała ją matka.

Lecz ona stała już na progu jadalni.

– Ach, jakie ładne talerze! – zawołała. Czułam znów, że jej zachwyty jest fałszywy, bo talerze, powieszony na ścianach w mej jadalni, były bardzo zwyczajne i kupione za tanie pieniądze.

U rodziców moich wisiły piękne talerze, podobno bardzo stare, więc i ja chciałam, żeby u mnie ściany nie były puste i także zapełniłam je porcelaną. W tej chwili jednak przeklinałam w duszy swoją głupotę i zawieszenie tych skorup w tak widocznych miejscach.

Co do kredensu i krzeseł, byłam spokojna. Wprawdzie kredens cały był już spaczony, a blat u stołu pękł na dwoje, ale na efekt przedstawiały się pokaźnie i nie widać było, że to tandeta. Iza stała w drzwiach krótką chwilę i zaraz powróciwszy do saloniku, podeszła do drugich drzwi, prowadzących do gabinetu mego męża.

– A tu? – zapytała.

– To gabinet mego męża! – odparłam i dodałam dość szybko: – proszę, niech pani tam wejdzie, jeśli pani sobie życzy.

Ona śmiała się, zwróciwszy ku mnie swą piękną twarz fryzjerskiej lalki.

– Ależ to sanktuarium! – mówiła, potrząsając mufeczką z czarnych karakułów, do której przyczepiony był pęk prześlicznych chryzantem. – Tam chyba tylko wejść wolno żonie, a nie obcej kobiecie!

Lecz ja upierałam się przy swoim:

– Proszę, niech pani wejdzie! Tam nie ma żadnych tajemnic.

– Są tajemnice! – odparła. – i skoro raz je natręć jaki spłoszy, albo odgadnie, tracą swój czar... i powab. *Je vous prierai... garde a vous!*

Nie rozumiałam, co chciała przez to powiedzieć.

Wydała mi się pretensjonalna i śmieszna w tej pozie, jakby wyciętej z ryciny mód paryskich. Zresztą szło mi o to, ażeby zobaczyła biurko mego męża, za które mój ojciec „z Kuriera” zapłacił dwieście rubli i które było podobno bardzo ładne.

Mówię „podobno”, gdyż ja na antykach się nie znam.

– Lecz skoro pani pozwala... – podjęła znów Iza – chodźmy zobaczyć, jak wygląda gniazdko, w którym się obecność pani domu najlepiej zaznacza.

I znów nie rozumiałam, dlaczego obecność pani domu ma się zaznaczyć w pokoju przeznaczonym wyłącznie dla męża. Wszak Julian nie lubił, gdy do tego jego gabinetu wchodziłam. Widziałam zawsze rodzaj niechęci na jego twarzy, gdy zjawiałam się na progu.

Wreszcie Iza weszła do gabinetu i zaraz podszedłszy do biurka, zaczęła mu się uważnie przyglądać.

– To bardzo piękny Ludwik XIII – wyrzekła – tylko te brązowe galeryjki na górze są później dorobione.

Nie odpowiedziałam nic, tylko się dziwiłam, skąd ona zna się tak dokładnie na robocie biurka.

Milczałyśmy długą chwilę. Ona została przy biurku i z roztargnieniem przewracała porozkładane ćwiartki papieru i książki. Zdawała się być zamyślona i spochmurniała nagle.

Promień słońca blady, żółty, zimowy wpadał ukośnie przez czerwone zasłony okien i słał się pod jej stopy.

Nagle Iza obejrzała się dokoła.

– A gdzie pani miejsce? – spytała – przecież musisz mieć tu jakiś fotelik, jakiś kącik, w którym siedzisz wieczorami.

Lecz ja nie miałam tu kącika, ani fotela. Julian najczęściej siedział w gabinecie po obiedzie, albo wieczorami – sam jeden (gdy był w domu).

Ja najczęściej siedziałam w jadalnym pokoju przy stole, albo przy piecu. Iza czekała chwilę na moją odpowiedź, lecz widząc, że nie odpowiadam, lekko wzruszyła ramionami.

– Dlaczego tu nie ma choć jednego kwiatka? – zapytała znowu. – w ogóle w mieszkaniu pani nie widzę kwiatów. Iza wyciągnęła rękę i z półki biurka zdjęła szybko mały wazonik z niebieskiego szkła, mój paniński, który przywiozłam razem ze swoją wyprawą w pudełku, gdzie była moja mufka schowana.

– Zobacz pani, jak się zaraz to biurko rozweseli – mówiła Iza z jakimś sztucznym uśmiechem – mężowi pani zaraz będzie weselej pracować!

Szybko odpięła od swej mufki wiązkę białych chryzantem i włożyła je do wazonika. Kwiaty zabieliły się jak stadko motyli i rzeczywiście zrobiło się ładniej, jaśniej, weselej. Lecz równocześnie serce mi się ścisnęło jakimś żalem, którego przyczyny odgadnąć nie mogłam. Iza także umilkła i tak stałyśmy obie dość długą chwilę, zapatrzone w te kwiaty delikatne i białe, podobne do postrzępionych płatków śniegowych.



Tegoż dnia wieczorem

Powiedziałam Julianowi dość cierpko, że kwiaty zostawiła Iza. Spojrzał na mnie zdziwiony i nagle zaczął się śmiać nienaturalnym śmiechem. Ten śmiech podrażnił mnie bardzo, zresztą od samego rana byłam dziwnie rozdrażniona. Miałam ochotę rzucić się na te kwiaty, poszarpać je i cisnąć o ziemię. Lecz czułam, iż postępując w ten sposób, będę śmieszna i głupia.

Uciekłam więc do jadalnego pokoju i tam gorąco płakałam.



20 grudnia

Dlaczego ja właśnie płakałam? Co mnie skłoniło do tych łez, które nie brały początku w sercu? Bo zauważyłam, że my, kobiety, płaczemy dwojako: jedne łzy nas bolą a drugie – nie. Otóż te łzy, które ja wylałam po odejściu Izy, nie bolały mnie wcale. Była to raczej obrażona duma, czy złość, że ktoś śmiał się targnąć na moją własność.

Bo ja zaczynałam teraz czuć prawo własności nad swoim mężem, choć Bogiem a prawdą, chyba już nikt mniej do nikogo nie należy, jak ów *mój* mąż do mnie.

Jest to obcy zupełnie dla mnie człowiek, a mimo to prawem i w sposób przyjęty na świecie, oddany mi na własność. To śmieszne, a co śmieszniejsze jeszcze, że dopiero wczoraj poczułam, że mimo woli, i mimo mej chęci w mój umysł weszło to już bezwiednie.

Przy śniadaniu zaczęłam umyślnie rozmowę na temat Izy. Byłam zła i pragnęłam się z Julianem na serio pokłócić. Przybrałam więc nadąsaną minę i rzekłam nagle, nie szukając wybiegu:

– Pragnęłabym zerwać znajomość z tymi paniami Troickimi. Słyszałam, że mają złą opinię.

Skłamałam, ale chciałam, aby mój mąż zaczął bronić te panie. Lecz on wzruszył ramionami i odparł:

– Zapewne... pokazywać się z nimi publicznie nie trzeba... ale bywać u nich, to co innego. W towarzystwie panny Izy wiele się nauczyć możesz.

Porwał mnie dziecinny pusty gniew.

– Czego? – zapytał opryskliwie – malowania się i kokieterii?

– Nie! – odrzekł mój mąż – oglądy towarzyskiej i tego *czegoś*, czego ci brakuje, a one posiadają w wysokim stopniu...

Zacisnęłam usta i nic nie odpowiedziałam.

Sama czułam, że Iza i jej matka mają ten specjalny warszawski, salonowy szyk, którego ja u moich rodziców, prowadzących dom bardzo „po dawnemu”, nabrać nie mogłam. Szyk ten miał Julian w każdym spojrzeniu, w każdym ruchu, w sposobie ubrania się, zapalenia papierosa, oszlifowania paznokci, wygłaszania niby miękko, a przecież niezmiernie stanowczo swego zdania.

Nadto Iza każdą swą pozą przypominała mi dziwnie kobiety Żmurki, które widywałam na obrazach, chodząc z mamą w niedzielę po sumie na wystawę Towarzystwa Sztuk Pięknych. Tamte malowane miały takie same pokręcone kędziory i patrzyły spod na wpół przysłoniętych powiek w dziwaczny sposób.

Gdy Julian wyszedł, poszłam do swego pokoju i usiadłszy przed lustrem, próbowałam patrzeć tak jak Iza.

Ale mi nie szło. Przede wszystkim dlatego, że ona ma oczy podłużne jak migdały, a ja okrągłe i wypukłe.

Po raz pierwszy jednak dostrzegłam, że rzęsy moje są o wiele gęściejsze i dłuższe niż rzęsy Izy.



W godzinę później

Zajrzałam do portmonetki i przestraszyłam się. Mam w niej rubla i trochę drobnych. A tu nadchodzą święta, trzeba strucli, bakalii, wina – tysiąca rzeczy. Jakże się bez tego święta mogą obejść? W domu mama zwykle, w sekrecie przed ojcem, zastawiała swoje brylantowe kolczyki i fermoar. Ale czegoż to na Wigilię nie było! A potem przez całe święta tak jedliśmy orzechy, że cały dom chorował. Zresztą, gdyby u nas nie było strucli i bakalii, co by ta Magdalena sobie o nas pomyślała! Już i tak mnie z góry traktuje i opowiada, jakie przygotowania do Wigilii robi się u moich sąsiadów naprzeciwko.



22 grudnia

Boże mój! Co za przykra scena!... Powiedziałam Julianowi, że nie mam już pieniędzy. Zaczewienił się cały, potem zapytał mnie, siląc się na spokój:

– Co z pieniędzmi zrobiłaś?

Mnie zaczęły się usta trząść, bo mi się na łzy zbierało.

– Wydałam! – odpowiedziałam cicho.

– Na co?

– Nie wiem...

Rzeczywiście dokładnie nie wiedziałam, na co wydałam, bo od pewnego czasu przestałam zapisywać swoje wydatki, przekonawszy się, że to pieniędzy powstrzymać nie może. Wtedy Julian porwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju, sapiąc ciężko. Miał na sobie swój stary szlafrok, ale eleganckie spodnie i kamizelkę, bo miał wyjść wieczorem. W tej chwili nie miał wcale owego „szyku”, tylko wydał mi się stary i niezgrabny. Długo milczał. Ja stałam oparta o ścianę, owinięta w chustkę, bo mi było zimno. Wreszcie mój mąż stanął przede mną i zaczął mówić z początku powoli, a potem coraz prędzej:

– Widzę, że wynikło między nami nieporozumienie. Wychodząc za mnie, wyobraziłaś sobie, że wychodzisz za milionera. Tymczasem ja jestem biednym urzędnikiem i nie mam za co utrzymywać żony. Z posagu twego wystarcza właściwie tylko na utrzymanie domu – nic więcej. Zanutuj to sobie. Przyzwyczajono cię w domu do zbytku, do marnotrawstwa. Starając się o ciebie, widziałem dobrze, co się święci. Ja jednak nie jestem pantoflem, jak twój ojciec, i zrujnować się nie dam!

Milczałam, bo cóż miałam odpowiedzieć? Pieniądze *moje nie były w moim ręku*, tylko w rękach tego pana z racji tytułu, że był moim mężem. Tak było postanowione i widocznie był

to wieczny porządek rzeczy. Należało mi tylko milczeć i czekać, co mi Jego Mężowska Mość wydzielić raczy.

Lecz on mówił jeszcze długo i głośno, pragnąc od razu przygnieść mnie tą wyższością, na jakiej go stawia mężowskie stanowisko. Nie potrzebował tak krzyczeć, bo nigdy nie byłabym mu zaprzeczyła praw jego i przywilejów. W tej chwili jednak przekonałam się, że jeżeli mąż nie jest pantoflem, to jest rodzajem tyрана. Przysłowie o kurze i grzędzie bardzo się tu dobrze daje zastosować.

Scena skończyła się wreszcie danymi mi wspaniałomyślnie dwudziestoma rublami, z których pięć miało być „na święta”. Postanowiłam za te pięć rubli kupić wina, bakalii i strucli dla Magdaleny, a samej udać ból zębów i leżeć całe święta. Na wigilię pójdę do moich rodziców, ale podczas świąt nie pokażę się nikomu. Spaliłabym się ze wstydu, gdyby ktoś zobaczył, co się u nas dzieje. Zacznę chyba uczyć się malować na porcelanie, albo będę tłumaczył „z francuskiego” jakąś powieść.



3 stycznia

Wreszcie minęły te utrapione święta. Mama znów zastawiła swoje kolczyki i fermoar, ale na wigilię było dwanaście dań, a bakalie stały całymi workami dokoła kredensu. Mój mąż był rozpromieniony, wesoły i bardzo szykowny. Ubrany w smoking, z białymi goździkami w butonierce, wyglądał jak księżę. Wszyscy go podziwiali, a ja porównywałam go w myśli do tego *mojego* Juliana, który chodzi po domu w zasmolonym starym szlafroku i tak wyraźnie zdradza zrządzące usposobienie. Ja ubrałam się bardzo skromnie, bo od pewnego czasu ogarniała mnie apatia i wyglądałam jak służąca mego męża. Zresztą mną nikt się nie zajmował – wszystko pociągnął ku sobie mój mąż, który wyjątkowo tego dnia był dowcipny i miły.

Przechodząc mimo drzwi gabinetu, podsłuchiwałam niechcący, że na Nowy Rok ojciec ma wypłacić resztę mojej posagowej sumy.

Ojciec prosił o prolongatę i usprawiedliwiał się, że interesy na wsi źle idą, lecz mój mąż powtarzał ciągle:

– Nie mogę!... nie mogę!... szalone wydatki... tyle pieniędzy... nastarczyć nie mogę!

Mój Boże! Co tu robić, żeby mniej wydawać pieniędzy i żeby Magdalena mnie tak nie okradała! Bo że ona mnie okrada, mogę przysiąc.

Ale cóż!... boję się jej nawet o tym powiedzieć.



5 stycznia

Teraz już wiem, dlaczego płakałam wtedy, gdy Iza pozostawiła chryzantemy na biurku mego męża.

Przyzwyczałam się powoli uważać Juliana za *swoją własność*. I to jest istota małżeństwa. Ale to nie jest własność serdeczna, wcale nie. To jest tak, jakby mi ktoś aktem jakimś prawnym darował coś na całe życie. On mówił ciągle dużo o prawach męża. Ja nic nie mówię, ale czuję, że *prawa żony* nagle zbudziły się we mnie w chwili odejścia od ołtarza. Myślę zawsze i mówię „mój mąż” – a nie po prostu „mąż”.

A to jest różnica.

A może mi się tak tylko zdaje – bo są znów chwile, w których Julian wydaje mi się zupełnie obcym człowiekiem. I to dziwne, że te myśli wtedy głównie nasuwają mi się przed umysł, skoro faktem brutalnym ja i mój mąż jesteśmy najwięcej do siebie zbliżeni. Jestem cała zadowolona w jego objęciach i porywa mnie jakaś rozpacz, tęsknota, wstyd, że nie mam dość odwagi, aby zaprotestować przeciw podobnemu znęcaniu się, które mi nic, prócz niesmaku, nie przynosi. Jeżeli kiedykolwiek, to wtedy czuję się niewolnicą i w mojej biednej, głupiej głowie rodzi się bunt przeciw podobnemu porządkowi rzeczy. A jednak mimo to uważam Juliana za moją własność – mimo to... A może właśnie dlatego!...



6 lutego

Nie pisałam nic cały miesiąc. Miałam dużo przez ten czas kłopotów. Przede wszystkim zdołałam odnaleźć w Kurierze rubrykę, w której podają ceny artykułów spożywczych. Przyszło mi to z trudnością, gdyż zwykle jest wymieniona cena „gryki”, „pszenicy” itd. Ale szukając mozolnie i cierpliwie, dowiedziałam się wreszcie, ile kosztuje polędwica, baranina, masło solone i owa nieszczęsna śmietana. Natychmiast przy rachunku sprawdziłam, że Magdalena okradła mnie tego dnia na blisko dwadzieścia osiem kopiejek. Po sprawdzeniu jednak należało jej tę kradzież przed oczy przedstawić. To było cokolwiek trudne, bo przyznaję, że mnie Magdalena trochę krótko trzyma. Ponieważ wiem, że za obrazę honoru (zdaje mi się, że i zarzut złodziejstwa liczy się do obrazu honoru, choć nie jestem pewna) siedzi się w kozie, skoro obrażony może przedstawić świadków swej zniewagi – więc posłam do kuchni i tam powiedziałam Magdalenie w najdelikatniejszej formie, że dalej oszukiwać się nie pozwolę. Z początku, widocznie ze zdziwienia, Magdalena do siebie przyjść nie mogła, potem zaczęła nagle lamentować tak głośno, że uciekłam z kuchni przerażona i zła na siebie, że tę scenę wywołałam.

Płacz jej i skargi rozlegały się po pokojach, aż nareszcie, Magdalena, otworzywszy drzwi, ze szlochaniem oznajmiła mi, że za służbę dziękuje.

Drugą przeprawę miałam z Julianem, który, dowiedziawszy się o odejściu Magdaleny, całą winę zwałił na mnie, dowodząc, że u mnie i przeze mnie żadna sługa nie wytrzyma.

– Tak jak u twojej matki! – dodawał zirytowany opóźnieniem wypłaty posagu. W kilka dni później miałam już inną służącą – Annę – dziwną jakąś istotę. Jest to śniada brunetka, tak śniada, że prawie czarna, z olbrzymimi oczami, świecącymi w ciemności, i z czarnymi włosami dziwacznie przyczesanymi na skroniach. Mówi powoli i chodzi jak kot. Jest bardzo leniwa i zauważyłam ze zdziwieniem, że wcale mnie nie okrada. Gotuje bardzo źle, gorzej nie można. Kupiłam książkę Ćwierciakiewiczowej i o ile można, dopomagam jej. W sekrecie przed Julianem oddaję często bieliznę do pralni, bo Anna nigdy nie zdążyłaby wykończyć na czas wszystkiej roboty. Pieniądze po prostu płyną mi z rąk. Byłam wczoraj u mamy, chcąc się jej poradzić, co zrobić aby mniej wydawać, ale natrafiłam na scenę pomiędzy ojcem i mamą. Moja młodsza siostra, Locia, już dorasta, a że, pomimo ośmioletniej nauki, źle gra na fortepianie, więc mama chce koniecznie, aby Locia umiała choć „coś zaśpiewać!”.

– Ależ ona nie ma wcale głosu – protestuje ojciec.

– Głosu wiele nie trzeba na takie śpiewanie – odpowiada matka – przecież to nie na gruntowną naukę, ale tylko na tymczasem, dokąd za mąż nie pójdzie.

– Szkoda pieniędzy – dorzuca ojciec.

– Naturalnie! – woła mama – tobie na wykształcenie dla dzieci szkoda, ale na Stępkowskiego znaleźć się musi. Gdybym nie walczyła do ostatka, to i Nacia (to jest ja) nie umiałaby grać na fortepianie.

Ja siedzę na boku i nie odzywam się wcale, ale myślę sobie, że ta nauka „na fortepianie” na nic mi się nie przydała, a kosztowała dużo czasu i pieniędzy.

Teraz nie otwieram fortepianu, chyba czasem o szarej godzinie, kiedy jestem sama, bo Julian nie lubi mego sposobu grania. Mówi, że nie mam pojęcia o muzyce i ma rację, bo gram gorzej niż miernie. Sama to czuję. Słuchając jak mama „walczyła” o lekcje śpiewu Loci, przypomniałam sobie te długie moje godziny strawione nad fortepianem. Po co? Na co? Ażeby wyębnić na rodzinnym zebraniu jakiś salonowy „Stück” albo fantazję z „Hugonotów?”

O! – te długie, długie godziny nad klawiaturą fortepianową, te gamy, te pasaże, te tryle i to ciągle przysyłanie sąsiadów!

– Pani prosi, żeby u państwa grać przestali, bo mojej pani uszy „spuchli”.

Mnie palce puchły i plecy bolały, ale grać musiałam. Teraz Locią zacznie śpiewać i znów sąsiadom będą „uszy puchli”.

Wysłałam od moich rodziców, nie doczekawszy się końca sprzeczek. Zresztą mama nic nowego nie powie. Wszakże i ona zawsze wojny toczy z ojcem o pieniądze.

Na ulicy ściemniało się już prawie i powoli błyskały tu i ówdzie światła w sklepach. Rodzice moi mieszkają na ulicy Królewskiej. Szłam więc powoli Mazowiecką, w stronę domu. Ten mój dom nie przedstawiał mi się bynajmniej jak dom ciepły i cichy. Pomimo, że w pokojach było ciepło, jakiś chłód i pustka wiały przeraźliwie ze wszystkich kątów. Czułam to na odległość. Nie spieszyłam się więc wcale. Wiedziałam, że Julian jest w domu i że siedzi w swoim gabinecie. Nie ciągnęło mnie, ażeby go jak najspieszniej zobaczyć. Wiedziałam, w jaki sposób mnie przywita, i jak odwróci głowę, i jak powie:

– A to ty? Dlaczego nie siedzisz w domu?

Na ulicy Mazowieckiej przystanęłam przy oknie, gdzie były wystawione kwiaty. Niektóre były prześliczne, dziwnego kształtu i barwy. Patrzyłam na nie długo, zachwycona delikatnością deseni i piękną barwą liliowego koloru. Na dole okna cały klomb paproci ślicznych, jak koronki przejrzystych, a przed paprociami lilijka zapalonych płomyków gazowych. Nigdy mnie tak nie ciągnęły ku sobie kwiaty jak w tej chwili. Na ulicy było cicho, spokojnie – z daleka dzwoniły jakieś sanki. Patrzyłam wciąż na kwiaty i nagle przypomniała mi się Iza – potem pan Adam, wieś, lipa, owe kwiaty, co jak białe motyle leciały na mnie. Zapomniałam o kuchni, o Annie, o spalonej leguminie, o lekcjach śpiewu Loci, o moim mężu... o wszystkim. Pragnęłam tylko czegoś pięknego, innego niż to, co mnie dręczyło jak zbroja przez tyle miesięcy.

I nagle uczułam, że ktoś bardzo delikatnie przysuwa się do mnie.

Mimo woli podniosłam głowę i spojrzałam. Był to młody, bardzo przystojny mężczyzna, blondyn, wysoki, dosyć elegancko ubrany. Pochylił się ku mnie i zamruczał:

– Cóż to? Przyglądamy się kwiatom?

Serce we mnie zatrzepotało jak ptak spłoszony, porwałam się i zaczęłam iść szybko ulicą.

Mężczyzna biegł za mną.

– Dokąd? – zawołał – dokąd? Z lekcji, czy na lekcję?

Wziął mnie widocznie za pensjonarkę, bo rzeczywiście miałam na sobie mój paniński żakiet z angorowym kołnierzykiem, w którym wyglądałam jak smarkata. Śnieg pruszył, gdy wychodziłam, i nie chciałam niszczyć rotundy.

Nie odpowiedziałam ani słowa, tylko biegłam jeszcze prędzej. On zrównał się ze mną i śmiejąc się, dotrzymywał mi kroku. Śnieg skrzypiał pod moimi bucikami. Na ulicach była cisza zupełna. Biegając szybko na plac Dzieciątka Jezus, pośliznęłam się. On porwał mnie za rękaw żakietu.

– Ze złości zwichni pani jeszcze nóżkę! – zawołał.

Wyrwałam mu rękę i mimo woli rzuciłam mu gniewne spojrzenie.

– Co za piękne oczy! – zawołał, zatrzymując się na chwilę.

Na placu przed pocztą stały dwie dorożki. Wskoczyłam w jedną, on wskoczył w drugą i pojechaliśmy tak jedno za drugim, a ja drżałam cała i policzki mi płonęły. Słyszałam, będąc panną, że w Warszawie mężczyźni zaczepiają na ulicy kobiety, ale nie miałam pojęcia, jak się to robi. Bałam się, ażeby Julian nie spotkał mnie zajeżdżającą przed dom w asyście tego pana, to znów chciałam ukarać tego zuchwalca interwencją mojego męża. Rozmyślałam, czy nie lepiej powiedzieć mu coś przykrego, wysiadając z dorożki, lecz nie wiedziałam, co się w takich wypadkach odpowiada. Zajechaliśmy przed dom, lecz jego dorożka zatrzymała się opodal i on z niej wcale nie wyszedł, co mnie trochę zmieszało. Zapłaciłam dorożkarzowi, wpadłam do bramy i wbiegłam na schody.

W domu Julian siedział po ciemku na sofie w swoim pokoju i palił papierosa. Weszłam szybko i natychmiast zaczęłam mu opowiadać co mi się zdarzyło. Sądziłam, że się porwie oburzony i zbiegnie do bramy, gdzie ów nieznajomy wypytywał prawdopodobnie stróża o moje nazwisko. Lecz Julian ziewnął, przeciągnął się i odrzekł nadąsanym głosem:

– Dobrze ci tak, nie włócz się sama po ulicy.

– Cóż mam więc robić – pomyślałam, siedzieć w domu i czekać aż mój pan mąż raz na miesiąc raczy *wyprowadzić mnie*, jak psa, na sznurku?

Poszłam do sypialnego pokoju, zapaliłam lampę i siedziałam długi czas, rozmyślając nad całą tą przygodą.

A w lustrze dostrzegłam, iż rzeczywiście mam bardzo duże i nawet ładne oczy.



7 lutego

Stał się fakt nadzwyczajny, który mnie dumą i trwogą przejmuje.

Oto Anna dziś rano, gdy Julian wyszedł do biura, przyniosła mi jakiś dość duży pakiet, opięty w bibułę.

– Stróż przyniósł! – powiedziała.

– Od kogo?

– Nie wiem, nie mówił.

Rozwinęłam.

Były to prześliczne lila kwiaty. Te same kwiaty, które w wystawie sklepowej na ulicy Mazowieckiej przykuwały mój wzrok, otoczone masą paproci. Ach! Takie ładne, takie bardzo śliczne! Związane były liliową wstążką (czysto jedwabną) i otoczone cienkimi, delikatnymi, zielonymi gałązkami. Poznałam je od razu. Do wstążki przypięta była kartka:

„Z prośbą o przebaczenie”.

Nic więcej.!

Chciałam kwiaty oddać, ale komu? Stróż powiedział, że mu wręczył posłaniec, kazał odnieść pod mój adres i poszedł. Kwiaty zostały... Stoją na toaletce. Odbijają się w lustrze, jak w tafli wodnej. Są świeże, młode, jasne i takie wesołe!

Ten pan – wczoraj przestraszył mnie bardzo, ale dziś... doprawdy te kwiaty mnie rozbroiły.

Tylko... co Julian na to powie!



11 lutego

Nie powiedział nic. Przyszedł późno, zjadł obiad, gniewał się, że znowu były zrazy, których on nie lubi, przespał się i poszedł. To dziwne – ja, gdybym była na jego miejscu, nie mogłabym przejść koło tych kwiatów i nie zawołać: Co to za śliczne kwiaty!



14 lutego

Anna dziwnie mnie niepokoi. Jest strasznie leniwa. Widzę, że pali papierosy, wczoraj na oknie znalazłam nawet małą fajkę. Oczy jej i zęby wydają mi się coraz straszniejsze. Chwilami, kiedy błysnie nimi w cieniu, aż mnie mróz przechodzi. Pociesza mnie to jedno, że jest bardzo nabożna i ciągle się modli. Może też będzie dobra i utrzyma się dłużej.

Wczoraj rano nagle zadzwoniono energicznie i weszła panna Iza. Zdziwiłam się bardzo, widząc ją wchodzącą. Ona miała także minę trochę zmieszaną, ale powoli odzyskała panowanie nad sobą. Usiadła i zaczęła opowiadać o celu swego przybycia. Karnawał w tym roku – mówiła – jest mało ożywiony, nudzimy się, prywatnych zebrań jest bardzo mało, a więc te panie postanowiły pójść na bal publiczny do ratusza. Iza przychodzi mi zaproponować, czy razem nie wybierzemy się z nimi.

Gdy nas będzie więcej, będzie nam weselej – mówiła – nie patrząc mi w oczy, tylko śledząc uparcie koniec swego bucika.

Przypomniałam sobie natychmiast słowa Juliana:

„Z tymi kobietami żyć można, lecz pokazywać się publicznie nie wypada”.

Miałam więc stanowczo odmówić, gdy nagle wszedł Julian.

Miał na szyi jeszcze biały fular, który zwykle nosił w zimie pod futrem. Zatrzymał się na progu, patrzył jakby zdziwiony i przestraszył się, widząc mnie sam na sam z Izą. Lecz ona podała mu rękę i natychmiast objaśniła cel swego przybycia.

Lecz dziwna rzecz! Zdawało mi się, że mówiąc do mego męża, głos jej jakby nabierał jakiegoś innego, ostrzejszego dźwięku. Gdy mówiła: „byłoby dobrze, gdybyście się państwo z nami wybrali”, mój mąż nie siadał, tylko stał na środku salonu i gryzł wargi. Czekałam na jego odpowiedź. Byłam pewna, że odmówi, lecz on po chwili milczenia przystał. Czułam niechęć w jego głosie, a mimo to przystał. Iza natychmiast zaczęła mówić o swej toalecie, o kolorze sukni, z wielką swobodą bywającej często w świecie kobiety. Ja czułam się zdziwiona i przerażona tą myślą, że mam wkrótce znajdować się na balu publicznym. Gdy Iza wyszła, pozostawiając w pokoju odurzający zapach fiołkowych perfum, znajdowałam się ciągle pod wrażeniem zdziwienia i nieprzyjemnej trwogi. Nie byłam nigdy na balu publicznym. Ale mój mąż przybrał swoją despotyczną minę i imponował nią tak, że widziałam, iż wszelka opozycja jest tym razem daremna. Poszłam więc do swego pokoju i zaczęłam przed lustrem oglądać swoją szyję, biust i ramiona. Jestem przerażająco chuda. Mam fatalne „solniczki”, a ręce długie i cienkie.

Co to będzie! Co to będzie! Do czego ja będę podobna w dekoltowanej sukni!



15 lutego

W portmonetce mam zaledwie parę rubli. Anna wydaje jeszcze więcej niż Magdalena. Nie wiem, co zrobić. Może coś zastawię, bo Julianowi nie powiem ani słowa o moich pieniężnych kłopotach. Wszystkie sprzeczki z moim mężem są dla mnie wstrętne, a najczęściej kłótnie o pieniądze. Czuję się wtedy zawstydzona. Nie wiem sama, dlaczego taka kłótnia tak mnie bardzo przygniata i upokarza. Zdaje mi się wtedy, że dziwne jest podobne położenie kobiety. Wiecznie musi oglądać się na łaskę męża i sama nawet nie ma prawa rozporządzać swymi *własnymi* pieniędzmi i obracać ich na swój *własny* użytek. Tylko znów z drugiej strony biorąc te rzeczy, jestem przekonana, że gdybym miała moje pieniądze w rękę, wydałabym je natychmiast bez rachunku i oglądania się na przyszłość. O ile sobie przypominam usposobienie mojej matki i innych znajomych mi pań i panienek, każda zrobiłaby to samo.

Skąd to pochodzi?

Ha, trudno, widzę, że będę musiała zastawić cokolwiek. Tylko jakże tu wynieść z domu srebro? Mama mogła to łatwiej robić, bo srebra było dużo i ojciec nie mógł się zaraz spozstrzec, ale u nas jest zaledwie srebra na dwanaście osób, więc Julian może domyślić się wszystkiego od razu.

Chyba zastawię zegarek, albo co.



16 lutego

Nie zastawiłam zegarka, bo mi było wstyd chodzić do lombardu, ale go sprzedalam. Zdaje mi się, że mnie ten Żyd jubiler okropnie okradł, bo mi dał po długich targach osiemnaście rubli.

Powiem Julianowi, że zegarek zgubiłam.



17 lutego

Julian dał mi „na bal” dwadzieścia rubli. Nie wiem, czy to będzie dużo, czy mało na robotę sukni. Mam w sztuce trzydzieści łokci jasnozielonej materii. Mama zawsze mnie ubierała wg swego gustu, więc teraz jestem w kłopotcie i nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Chciałabym ubrać tę suknię kwiatami. Ach! Gdyby można było dostać takie lila kwiaty, jak te, przysłane przez tego pana, który mnie zaczepił!

Już zwiędły. Oberwałam kilka listków i chciałam je schować do tej szkatuleczki, w której mam pamiątki po panu Adamie. Lecz nie wiem dlaczego, skoro zobaczyłam, że te kwiaty mieszały się z tamtymi drobiazgami, porwał mnie żal i gniew szalony. Wyjęłam więc szybko owe liliowe nadwiędłe listki i znalazłszy małe pudełeczko od cukierków, wrzuciłam je tam na dno. I schowawszy oba pudełeczka do komody, pomyślałam sobie, że życie ma w sobie mnóstwo dziwacznych niespodzianek, i że ja mam teraz dwa wspomnienia, obydwie dziwne i nierównie mi drogie.

Te pamiątki po panu Adamie wprowadzają mnie w stan smutku, ale takiego, od którego serce nie boli gwałtownie, tylko jakby cicho płakało.

A te liliowe kwiatki dziwnie mnie niepokoją...

Zaraz mi się przypomina ulica Mazowiecka, ciemnica jakaś szara i niewyraźna, a potem ten szept tego pana, którego nie znam, i potem światełka jego dorożki, goniącej za mną prędko... prędko...



18 lutego

Iza była u mnie dzisiaj podczas nieobecności Juliana. Nie wydała mi się tak ładna, jak zwykle. Mówiła, że dużo tańczy i pytała mnie, dlaczego ja nie bywam nigdzie w tym karnawale? Odpowiedziałam jej, że skoro już wyszłam za męża, to chodzenie na bale jest chyba dla mnie niepotrzebne. Zaczęła się śmiać przeciągle i odpowiedziała mi:

– Ja dopiero gdy wyjdę za męża, zacznę się bawić na dobre!

Potem poszła do pokoju Juliana i stanęła znów przy jego biurku, wzięła ołówek i nakreśliła na arkuszu papieru masę gzygzaków. Stojąc z daleka, nie mogłam widzieć, co ona pisze – usiłowałam jednak odcyfrować te znaki, nie wydając się zanadto ciekawą. Nagle Iza rzuciła ołówek i zapytała mnie na wpół ironicznie i na wpół gniewnie:

– Mąż panią bardzo kocha?

Jakkolwiek jestem bardzo młoda i niedoświadczona, uczułam, że Iza daje w tej chwili wielki dowód braku taktu.

Odpowiedziałam jednak, siłąc się na spokój: Bardzo!

Iza zagryzła usta i podniósłszy trochę głowę, patrzyła na mnie spod rzęs przymkniętych.

– Naprawdę? – spytała.

– Jakże inaczej mogłoby być – odparłam jej, silnie rozdrażniona.

– O!... – wyrzekła, cedząc powoli słówka – mogłoby być inaczej... zresztą na świecie zwykle tak bywa...

Urwała, lecz teraz ja nie miałam ochoty ustąpić i pozwolić jej zamilczeć.

– Bywa co? Bywa co?...

Lecz ona milczała i obrzuciła mnie tak zimnym i pogardliwym spojrzeniem, że słowa i odwaga zamarły w mej piersi. Czułam, że ta kobieta ma do mnie jakiś żal i że mnie nienawidzi, ale za co? Za co? Gdy odeszła, poszłam czym prędzej zobaczyć, co napisała na owym arkuszu papieru. Owe nieforemne gzygzaki, poplątane dość sztucznie, tworzyły jedno tylko jej imię własne – powtarzane na tysiąc sposobów: Iza. Chciałam podrzeć ten papier i wyrzucić go precz z biurka mego męża, lecz coś mnie wstrzymało od tego kroku.

Zostawiłam jej pismo, tak jak zostawiłam wtedy jej kwiaty, lecz nie powiedziałam Julianowi ani słowa o jej bytności w naszym domu. Lecz nazajutrz rano, gdy Julian wyszedł, pobiegłam zobaczyć co się stało z owym arkuszem papieru. Nie było go na biurku, lecz dokoła na ziemi nie znalazłam także strzępków.

Widocznie Julian schował do szufladki ten arkusz papieru, zapisany ręką Izy.

Ogarnęła mnie chwilowo złość i to samo uczucie pogwałcenia *praw własności*, jakie odczułam przy pozostawieniu kwiatów przez pannę Troicką na biurku mego męża.

Lecz zaraz przypomniałam sobie pudełeczko, schowane głęboko pod bielizną w komodzie, a w nim na dnie kilka zeschniętych liliowych płatków kwiatowych. I zrozumiałam, że jakkolwiek mamy stanowić z mężem moim *jedno*, jesteśmy ciągle i zawsze *dwojgiem* zupełnie odrębnych istot.

A przecież ja spodziewałam się w małżeństwie zupełnie czego innego.



19 lutego

Zrobiłam nadzwyczajne odkrycie.
Anna jest... Turczynką!...
Jestem tak wzburzona, że pisać więcej nie mogę.



20 lutego.

Uspokoiliam się dziś trochę i mogę uporządkować moje wrażenia. Wczoraj wieczorem byłam sama, jak zwykle. Siedziałam pod piecem i nudziłam się. Myślałam o tym, co się dzieje z nami po śmierci, czy to nie boli, jak nas robaki jedzą – o balu – o przypalonej na obiad szarlotce. Nagle wchodzi Anna i zbliża się do mnie, śmiejąc się w dziwny sposób. Ciemno było w pokoju, a zęby jej przecież błyszczały, jak rząd zapalonych lampek. W ręce trzymała garść kamyków różnokolorowych, łańcuszków brązowych, pierścionków. Wszystko to wysypała mi na kolana, mówiąc:

– Pani się może nudzi, to niech się pani zabawi... Ja machinalnie usunęłam ręce, ale ona usiadła przy mnie na ziemi, zaczęła się kołysać na piętach i mówić monotonnym głosem:

– Niech się pani nie boi... ja te głupstwa ukradłam tylko mojemu ojcu, wtedy, gdy mnie pani moja zawiozła na powrót do Turcji, żebym się zobaczyła z rodzicami.

– Jak to, do Turcji?

– A no tak... Jestem Turczynką. Pani Radolińska, jak była ze swoim mężem w Turcji, to mnie kupiła u moich rodziców, ochrzciła i u siebie chowała. Potem, gdy miałam szesnaście lat, zawiozła mnie do ojca i wtedy ja ojcu pokradłam te kamyki. Później pani Radolińska umarła, a ja poszłam do służby. Ale kamyki zabrałam ze sobą i dużo już rozdałam maglarkom i po sklepikach. Jak pani się coś podoba, to niech pani sobie weźmie. Mnie to niepotrzebne.

Oddałam jej biżuterię i jestem teraz w okropnym kłopotcie. Przecież nie mogę trzymać u siebie złodzieja, a zwłaszcza Turczynki. Muszę ją oddalić koniecznie.



21 lutego

Przyniesiono mi moją suknię balową. Wieczorem pozapalałam wszystkie świece i ubrałam się w nią. Jestem zrozpaczona. Wyglądam szkaradnie. Ramiona moje są straszne, a ręce porośnięte ciemnymi włosami. Chciałam je opalić, ale sparzyłam się dotkliwie. Na szczęście uratują mnie rękawiczki. Krawcowa obdarła mnie okropnie. Za dodatki policzyła kilkanaście rubli. Będę musiała znów coś sprzedać. Zresztą u nas w domu zawsze przed balami coś za-

stawiano w sekrecie przed ojcem. Mama była u mnie wczoraj, ale, rzecz dziwna, jak moje małżeństwo oddaliło mnie od rodziców. Jesteśmy teraz ciągle na stopie ceremonialnej i składamy sobie wizyty jak obcy ludzie. Nie chciałabym, ażeby mama dostrzegła, że mam pieniężne kłopoty. Udamę więc, że mi nic nie brakuje, a nawet mam więcej niż mi potrzeba. Siostrom także za nic w świecie nie przyznałabym się do jakiegokolwiek braku. Może jest to duma, może głupota, ale to jest silniejsze ode mnie i inaczej być nie może. Powiedziałam mamie, że idę na bal z paniami Troickimi, mama zdawała się być tym zdziwiona i zaniepokojona. Próbowała nawet wpłynąć na mnie, ażebym wymówiła się od towarzystwa tych pań. Odpowiedziałam, że to niemożliwe, gdyż taka jest wola Juliana. Zdawało mi się przez chwilę, że mama chciała mi coś ważnego powiedzieć, ale namyśliła się i zaniechała swego zamiaru. Gdy Julian przyszedł, mama wstała i pożegnała się. Widocznie mój mąż i moja matka nie lubią się i nie mają do siebie zaufania. Podobno zwykle tak się dzieje.

Dlaczego u nas miałoby być inaczej?



25 lutego

Po balu.

Czy zdołam opisać to wszystko, co przeżyłam przez tę jedną krótką noc, a dla mnie jak wieczność nieskończoną?

Więc przede wszystkim wyjazd nasz z domu w wynajętej karecie i zbyt wielkich berla-czach, które mi przeszkadzały zejść ze schodów. Anna niosła za mną tren sukni, a na dole i w bramie zebrały się wszystkie służki z całej kamienicy i kilku szewskich chłopaków. Za nami szedł Julian, zły i nachmurzony. Od rana tego dnia robił mi sceny i awanturował się z Anną. Wreszcie pojechaliśmy po panie Troickie, które już ubrane i okryte futrami, oczekiwały nas ze źle tajoną niecierpliwością. Byłam szczęśliwa, że uniknęłam badawczego wzroku Izy. Choć zasłoniłam „solniczki” dwiema kokardami z gazy, wiedziałam, że wyglądam źle i robię nędzne wrażenie. Przybywszy do ratusza, już wchodząc do sali, straciłam po prostu przytomność. Tyle światła, tyle dam, a zwłaszcza tylu mężczyzn, tak dziwnie na nas patrzących. Nasuwałam, ile mogłam, na siebie swoje „*sortie de bal*”, choć wszystkie panie zdejmowały z siebie narzutki przy wejściu do sali. Siedliśmy w kącie pod oknem, z którego wiało. Spojrza-łam na Izę i doznałam oburzenia. Była bardzo piękna i biała. Ma cudowny biust, szyję i ręce. Białosc jej była widocznie sztuczna, bo z bliska ciało jej wyglądało jak polakierowane. Była ubrana w bladożółtą gazową suknię, przetykaną srebrem. Rękawy spadały jej z ramion i tylko dwa srebrne galony przytrzymały je z obydwóch stron. Widocznie Iza wie, że jest bardzo piękna w dekoltoowanej sukni; bo nigdy nie widziałam jej tak ożywionej i rozpromienionej, jak w tej chwili. Rozmawiała po cichu z moim mężem, który ciągle był zły i zachmurzony. Muzyka grała walca i tańczono, ale ścisk był straszny i przeważnie panie siedziały, rozmawiając i śmiejąc się za wachlarzami. Niektóre były bardzo gustownie i kosztownie ubrane, ale nie można było rozróżnić panien od mężatek, tak wszystkie były popudrowane i postrojone. Zaraz zaczęto Izę przedstawiać tancerzy. Mnie nie przedstawiono prawie nikogo. Byłam tym upokorzona, ale zarazem i trochę rada. Wiedziałam, że gdy mnie poproszą do tańca, będę musiała zdjąć swoje okrycie i wtedy moje biedne „solniczki” zabłysną w całej pełni. Nie było chyba równie chudej kobiety na całym balu, równie źle ubranej i źle uczesanej. Pragnęłam pozostać tak w kącie poza plecami pani Troickiej cały wieczór. Jej ciemnoczerwona aksamitna suknia była moim parawanem, ograniczającym mnie od bawiącego się i wspaniałego świata. Bałam się, ażeby Julian nie przypomniał sobie o mnie i nie wyciągnął mnie z mego

kąta, ale on siedział ciągle obok Izy i trzymał jej wachlarz i karnecik, kiedy ona tańczyła. Wyglądał zupełnie jak jej mąż i po raz pierwszy pomyślałam, że Iza jest o wiele stosowniejsza na żonę dla Juliana ode mnie.

Przypatrywałam się panom, którzy przedstawiali się Izie i prosili ją do tańca. Wszyscy byli bardzo szykowni i do twarzy im było w białych krawatach. Niektórzy wyglądali jak lokaje z dobrego domu, a niektórzy jak aktorzy, grający hrabiów i baronów. Wszyscy się wdzięczyli i wystawiali naprzód nogi, ażeby pokazać nowe lakierki. Kilku było ubranych w czarne jedwabne pończochy i ci stawiali nogi tak jak baletniczki. W ogóle mężczyźni na balu więcej kokietują kobiety niż kobiety mężczyzn, choć i kobietom nie brak kokieterii. Siedzieć tak na boku i patrzeć na to wszystko spokojnie i z zimną krwią, to cała sala balowa wygląda jakby cyrk, w którym grają pantomime. W tej pantomimie wszyscy się oszukują, zwodzą i okłamują wzajemnie.

Najwięcej było mi wstyd za panny na wydaniu, bo niedawno jeszcze do nich należałam i wiem, co warte są wszystkie te powłóczyste spojrzenia i uśmiechy. Iza jednak śmieje się i patrzy inaczej niż inne panny na wydaniu. Ona prędzej kokietuje mężczyzn tak, jak to czynią mężatki. Wyraźnie widziałam, że kokietowała mego męża, który był w coraz gorszym humorze. Ile razy Iza powracała na swoje miejsce po skończonym *turze*, on nachylał się ku niej i mówił coś do niej z gniewem. Ona wzruszała ramionami i śmiejąc się, szła znów tańczyć, rzucając mu na odejście długie, zimne spojrzenie.

Ja zasuwalam się coraz głębiej w mój kącik, a że zarzutka moja jest biała, więc na tle białej framugi niknęłam zupełnie. Pani Troicka rozmawiała ciągle z tancerzami, którzy oczekiwali na Izę. Słuchałam jej bezmyślnej paplaniny. Ze wszystkimi mówiła o tym samym. Podziwiam jej cierpliwość i niewyczerpaną uprzejmość. Zdawała się być doskonale nakręconą katarynką. Tylko pióro ciemnoczerwone, zatknięte tryumfalnie w jej włosach, chwiała się czasem, jakby ze znużenia. Nagle mój mąż podniósł się i stanął przed Izą tak, jakby ją prosił do tańca. Ona odmówiła widocznie. Oboje krótką chwilę wiedli z sobą jakąś sprzeczkę cichą, ale gwałtowną. Po czym Iza szybkim ruchem zerwała się z miejsca i zbliżyła do jakiejś znajomej przechodzącej panny. Mój mąż pozostał sam i śledził ją przez chwilę. I nagle iść zaczął w stronę pani Troickiej. Przestraszyłam się, ażeby nie zobaczył mnie zasuniętej w kąt i okrytej *sortie de balem*. Skurczyłam się i starałam się zrobić jeszcze mniejsza. Mój mąż zajął próżne krzesło obok pani Troickiej i zaczął mówić monotonnym i nosowym głosem, który znałam niestety aż nadto dobrze, gdy używał go w chwilach wielkiego zdenerwowania:

– Pani powinna zakazać pannie Izie tańczyć tak bez opamiętania, to niezdrowo, a przy tym to kompromituje...

Pani Troicka patrzyła w milczeniu przed siebie i nie odpowiadała ani słowa.

– A przy tym – ciągnął mój mąż – jak się panna Iza ubrała... co to za stanik, czy któraś z tych pań jest tak ubrana?...

Sądziłam, że pani Troicka oburzy się na podobny brak taktu ze strony Juliana, lecz ona była ciągle spokojna i grzecznie uśmiechnięta.

– Taka moda – wyrzekła wreszcie słodkim i uprzejmym głosem.

– To głupia moda! – odrzucił Julian z widoczną wściekłością.

Nagle zwrócił głowę w moją stronę i dostrzegł mnie. Popatrzył na mnie chwilę i zapytał półgłosem:

– Tańczyłaś?

Miałam ochotę skłamać, ale świadkiem tego kłamstwa byłaby pani Troicka, więc zdobyłam się na odwagę i odpowiedziałam:

– Nie!...

– Dlaczego?

– Nie mam ochoty!

Tę odpowiedź podyktowała mi próżność kobieca. Nie chciałam powiedzieć memu mężowi, że nikt mnie do tańca nie prosił. Wzruszył ramionami i odparł:

– Więc po co było na ten bal przyjeżdżać?

To samo pytanie kręciło się po mej głowie już od dwóch godzin i pozostało bez odpowiedzi.

Lękałam się, że mój mąż „przyczepi się” teraz do mnie, ażeby spędzić na mnie swój zły humor, ale Julian powstał i odwróciwszy się nie dość grzecznie od pani Troickiej, zginął w tłumie czarnych fraków. W tej samej chwili znów ktoś zajął opróżnione przez odejście mego męża krzesło. Jakiś młody człowiek, pachnący jak saszetka, witał się bardzo przyjaźnie z panią Troicką. Widziałam tylko jego postać zwróconą ku mnie bokiem i tył głowy, po której wiły się ufryzowane blond włosy. Ten „pan” miał na sobie frak jasnoczerwony i czarne jedwabne pończochy. Wyróżniało go to od innych „fraków” i odcinało od karawaniarskiej gromady. Mówił za panią Troicką swobodnie i wesoło, ona ożywiła się i odpowiadała mu chętnie. Widocznie znali się dobrze i dawno. Dźwięk jego głosu uderzył mnie. Był mi stanowczo znany. Gdzie? Kiedy? Nagle nieznajomy odwrócił głowę i spojrzał prosto w twarz moją. Poznałam go od razu. Był to ten sam młody człowiek, który zaczął mnie na ulicy Mazowieckiej i później przysłał mi liliowe kwiaty. Przypomniałam sobie małe pudełeczko, schowane przeze mnie pod stosem bielizny.

Zdawało mi się, że ten mężczyzna, taki woniejący, ufryzowany i pewny siebie w swym czerwonym fraku, zna moją tajemnicę i szydzi z niej w głębi duszy. I on poznał mnie od razu, bo patrzył na mnie uporczywie, tak uporczywie, że aż oczy pani Troickiej zwróciły się na nas oboje. Uprzejma ta pani zapragnęła być jeszcze uprzejmiejszą, osłodzić mi nudy i wciągnąć mnie do ogólnej rozmowy.

– Masz pani rację! – wyrzekła, zwracając się ku mnie – po co było na bal przyjeżdżać, jeśli miała pani zamiar schować się do kącika i nie bawić wcale. Przedstawię pani jednego z najlepszych tancerzy. Pan Molicki nakłoni panią z pewnością do opuszczenia tej kryjówki.

Zanim pani Troicka skończyła swą przemowę, już czerwony frak stał przede mną, a jedna noga pana Molickiego, wdzięcznie naprzód wyciągnięta, błyszczała gwiazdą lakierka.

I ja powstałam jak zahipnotyzowana. Wolałam pójść tańczyć, niż przemówić jedno słowo. W gardle mi zaschło, a w głowie zaczęło mi się kręcić. Polecając moją duszę Bogu, zsunęłam z ramion okrycie i uczepiłam się ramienia mego tancerza. Zaczęliśmy tańczyć, to jest właściwie zaczęto nas poszturchiwać i my zaczęliśmy ludzi popychać wzajemnie. Wyrwano mi fałdę u sukni, a ja jakiejś pani bransoletką wydarłam kilka sztucznych loków. Wreszcie dobiliśmy do pani Troickiej i ja czym prędzej zasunęłam się w swój kącik. Okrycia mego na razie znaleźć nie mogłam, a pan Molicki, wzięwszy krzeselko, wsunął się za mnie w ową framugę okna. Byłam bardzo zmieszana i zaniepokojona. Co on mi powie? Czy może należałoby, ażebym mu zaraz powiedziała, co myślę o jego postępowaniu poprzednim? Ale w takim razie, po co ja z nim tańczyłam? Teraz wszelkie wymówki i obrazy sensu nie mają.

Lecz on zaczął mówić ze mną o wszystkim: o balu, o orkiestrze, o toaletach dam, o Izie, o Warszawie – tylko ani jednym słowem nie dotknął naszego pierwszego spotkania. Byłam mu za to bardzo wdzięczna i chwilami nawet zaczęłam przypuszczać, że mnie nie poznał zupełnie. Tylko jego oczy, śledząc mnie w uporczywy sposób, mówiły przeciwnie. Był to widocznie jeden z tych „bywalców” warszawskich, których jest wszędzie pełno i którzy stanowią, według mnie, rodzaj typu, wyrosłego na naszym bruku. Znał wszystkich i wiedział jakąś historię o każdej z pań lub panien, przesuujących się po sali. Mówił dowcipnie, ale nie zabawnie. Był przystojny, ale nie był ładny. W kapeluszu wydał mi się piękniejszy. Kilkakrotnie próbował mi powiedzieć komplement i dziwiłam się, jak zręcznie umiał korzystać z tego, co nie było najbrzydsze w mojej osobie. Łatwość jego obejścia pociągnęła mnie ku niemu. Wprawdzie tą bezmyślną paplaniną i czerwonym frakiem rozbił iluzję, jaką miałam dla dawcy liliowych kwiatów, ale powoli ożywiłam się i byłam swobodniejsza w jego towarzystwie, niż przypuszczać mogłam. Tym bardziej przyszło mi to z łatwością, że odkryłam wreszcie na

poręczy krzesła pani Troickiej moje okrycie i zaszyłam się w nie czym prędzej, jak żółw w skorupę. Okrywszy moje „solniczki”, poczułam się pewniej.

Molicki patrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Dlaczego pani się okrywa? – zapytał – czy pani jest zimno?

– Nie! – odpowiedziałam mimowolnie.

– A więc dlaczego?

Milczałam.

– Takie ma pani ładne linie ramion i szyi! – ciągnął, zarysowując jakąś linię w powietrzu – nie należy tego, co ładne, zakrywać.

Byłam zdumiona i dziwnie pomieszana zarazem.

Moja szyja i ramiona ładne?

To szczególnie.

Nagle ujrzałam przed sobą Izę. Przywitała się z Molickim i uśmiechnęła się, patrząc na mnie.

– Ja do pani z prośbą! – zaczęła – obecnie pauza pomiędzy tańcami, może się przejdziemy po sali... proszę panią o to!

Powstałam szybko. Chciałam się oddalić od Molickiego. Ta pochwała mego ciała wywołała znów we mnie wspomnienie napaści na ulicy Mazowieckiej, pogoni dorożką...

Iza ujęła mnie za rękę.

– Pójdzie pani? – spytała.

Molicki powstał także. Patrzył na nas jakoś ironicznie i drwiąco.

– Panie żyją w przyjaźni? – zapytał, usuwając grzecznie przed nami krzeselka.

Iza zmierzyła go wzgardliwym spojrzeniem.

– Dlaczego nie miałybyśmy żyć w przyjaźni? – odparła.

Molicki zaczął się wachlować szapoklakiem.

– Dlaczego nie miałyby panie żyć w przyjaźni? – wyrzekł, śmiejąc się i wzruszając ramionami.

Iza pociągnęła mnie za sobą i ujęła pod rękę.

– Chodźmy! – wyrzekła głośno, a pochyliwszy się ku mnie, dodała prawie szeptem: – znieść go nie mogę. Wyobraża sobie, że jest kimś, a to kandydat do posad sądowych.

Była rozgorączkowana i gryzła nerwowo wargi. Ja sama szłam jak oślepiąca, tak mnie ten gwar, to światło i ta masa osób uderzała. Teraz spacerowano po sali w różnych kierunkach i oglądano się wzajemnie. Pomimo mego zmieszania, zauważyłam, że niektóre osoby, widząc nas razem odwracały się za nami i przyglądały się ciekawie. Doleciały mnie nawet słowa jakiejś damy, zamienione z drugą damą:

– Jak to? Razem?

– To dziwne!

Iza szła powoli, jakby chwając się tym, że szła ze mną. Zatrzymywała się, rozmawiała, a raczej mówiła do mnie uprzejmie, opierała się na moim ramieniu z przyjacielską poufałością.

Ktoś, patrząc z daleka, mógłby przypuścić, że rzeczywiście żyjemy ze sobą w przyjaźni. Lecz równocześnie ogarniał mnie jakiś wstyd, przyczyny którego nie rozumiałam i do tej chwili na próżno odgadnąć się staram.

Nie była to dwuznaczna opinia, jaką przeczuwałam o Izie, bo mimo całej masy przesądów, panujących w domu rodziców, potrafiłam sobie wyrobić zdanie o wartości opinii świata całego – lecz w głębi mej duszy działało się coś, co mnie napełniało dziwnym niepokojem i wstydem.

Nagle ręka Izy, wsunięta pod moje ramię, stała się jeszcze cięższa. Panna Troicka głośno śmiać się zaczęła i wyrzekła pogardliwie, wskazując mi pewną grupkę wachlarzem:

– Oto, według wielu, królowa dzisiejszego balu. Spojrzałam we wskazanym kierunku i zobaczyłam mego męża, prowadzącego pod rękę bardzo piękną, słusznego wzrostu blondynkę,

w płomienistej pomarańczowej sukni. Cała ta postać tęga, wyniosła, biała, różowa, owiana masą bijącej w oczy gazy, była niewątpliwie piękna i to zuchwale piękna. Ta pani jednak była za duża, za biała, za ładna, za dobrze zbudowana, miała włosy zanadto pokarbowane – słowem, wszystkiego było w niej za wiele. Szła pewna siebie, uśmiechnięta jak lalka i za każdym krokiem poruszała dziwacznie głową. Wszyscy przypatrywali się jej z podziwem i uwielbieniem. Mnie ona po prostu rozśmieszyła, bo wydała mi się podskakującą dużą pomarańczą. Najzabawniejszy jednak był mój mąż. Nadęty, dumny, stapał jak indyk i spoglądał dokoła zwycięsko. Ogarnęła mnie nagle wesołość. Przechodziłyśmy właśnie obok tej wspaniałej pary. Mój mąż spojrzał na mnie i na Izę tak, jakby nas zupełnie nie znał.

W tej samej chwili pomarańczowa dama pochyliła się ku niemu i kończąc jakiś rozpoczęty frazes, wyrzekła:

– *Et puis je vous erois monsieur le comte.*

I przeszli oboje dalej, obnosząc swoją wielkość, piękność i elegancję.

– *Monsieur le comte?*

Słyszałam wyraźnie i dobrze. Mój mąż hrabia! To wspaniałe. Musiał się zakaż przedstawić owej „królowej” jako „hrabia”, ażeby dodać sobie wagi w jej oczach.

Zwróciłam się ku Izie szczerze rozbawiona i wesoła.

– Słyszała pani... Julian został hrabią!

Lecz ona przerwała mi gniewna i zirytowana:

– Pani nie powinna pozwolić mężowi kompromitować się w ten sposób – wyrzekła półgłosem.

– Jak to, kompromitować?

– Ta pani ma jak najgorszą opinię. Przyjechała na karnawał z Ukrainy i straszne rzeczy o niej opowiadają... To panią kompromituje, jeżeli mąż pani pokazuje się publicznie w podobnym towarzystwie.

Wzruszyłam ramionami.

– Proszę pani – odparłam – Julian jest pełnoletni i wie, co robi. Zresztą każde z nas odpowiada chyba przed światem za swoje postęпки, a nie za czyny drugiego?

– Więc pani nie jest zazdrosna? – zawołała prawie głośno.

Prawo własności zbudziło się w mojej piersi.

– Pani chyba zapomina – odparłam z godnością – że Julian jest moim mężem, a więc praw moich do niego żadna dama z Ukrainy naruszyć nie może.

Nadęłam się i szłam tak obok milczącej teraz Izy, czując jednakże całą śmieszność słów swoich. Jakież były rzeczywiście owe „prawa” moje do tego pana we fraku, człowieka zupełnie dla mnie duszą, a nawet poniekąd ciałem obcego, który przed chwilą przeszedł obok mnie tak, jakby mnie nie znał wcale?

Muzyka zaczęła grać polkę. Tu i ówdzie szykowano się do tańca. Zaczęłyśmy z pewną trudnością przedostawać się przez zwarte tłumy gości.

Nagle wydostałyśmy się na jasną i pustą przestrzeń. Był to środek sali, przygotowany dla tańczących. Należało go przejść, ażeby dostać się do pani Troickiej i mego kącika. Nogi pod mną drzeć zaczęły. Poczulałam się brzydka, samotna i opuszczona. Dokoła mnie była atmosfera kłamstwa i obłudy. Zwróciłam się myślą do „domu”, do tego mieszkania, które się moim domem nazywało. I tam był chłód i pustka.

Ręka Izy ciążyła mi teraz na ramieniu jak galernicza kula. Wlokłam ją za sobą pod ironicznym spojrzeniem Molickiego, który ciągle stał obok pani Troickiej i teraz, wachlując się szapoklakiem, śledził mnie w dziwaczny sposób.

Wreszcie i bal się skończył, powróciłam do domu. Pierwszą moją myślą było, gdy weszłam na próg mojej sypialni, troska o pieniądze na zapłacenie szwaczki i kłopot z wyszukaniem nowej sługi.

Ach Boże, jak mnie już życie nudzić zaczyna!



18 marca

Długo nie pisałam, bo miałam wiele kłopotów i czuję się niezdrowo. Miałam sprzedać moją balową suknię, ażeby zapłacić krawcowej.

Chciałam ogłosić w Kurierze, ale bałam się, że Julian się dowie i zrobi mi scenę. Sprzedałam ją na ulicy Chmielnej, tam, gdzie mama często sprzedawała nasze wieczorowe sukienki. Sprzedałam także mój żakiet paniński i jedną wyprawną sukienkę, bo nie wystarczyłoby mi pieniędzy. Należało zapłacić Annie przed wymówieniem jej służby. Anna, dowiedziawszy się, że nie chcę jej trzymać, bo jest Turczynką – powiedziała mi z gniewem:

– W takiej psiakrewskiej służbie to jeszcze i poganka za dobra.

Po czym splunęła i coś gadała przez zęby. Musiało to być po turecku, bo nic nie rozumiałam.

Teraz mam służącą, która nazywa się Aniela i ma kawalera.

Ona mówi, że to „brat”, ale ja dobrze widzę, co się święci. Teraz, ile razy idę do kuchni, to zawsze muszę kaszleć albo potrącać krzesła. Raz weszłam, kiedy się całowali. Tak się zawstydziałam, że sama nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Aniela jest dość przystojna, ciągle sobie pierze i prasuje różne bluzki i zdaje mi się, że się pudruje. Ten „kawaler” to jest lokaj bez miejsca i bardzo mu mile z oczu patrzy. Ile razy wejdę do kuchni, ciągle coś zajada, a kapustę Aniela co dzień od rana do nocy gotuje. Nie mówię nic, bo Aniela dobrze gotuje i jest chętna do roboty.

Ach Boże!... Żeby się choć ta dłużej utrzymała. Julian mówi, że i ta nie wytrzyma, bo u mnie, tak jak u mojej mamy, żadna sługa nie wytrzyma.

Julian coraz więcej mojej mamy nie lubi i bezustannie mi nią dokucza.

To złe i głupie.



20 marca

Podarły mi się zupełnie buciki i literalnie nie mam sobie za co nowych kupić. Koniec miesiąca, sprzedałam moją bransoletkę, wysadzaną granatkami, za dziesięć rubli. Znalazłam Żyda na Rymarskiej ulicy, który daje trochę więcej niż inni. Będę zawsze do niego chodziła. Co tu zrobić z tymi bucikami? Mam wprowadzić buciki, cieniutkie, eleganckie, kilka par pantofli, jedno wyszywane złotem na po domu, ale porządnych bucików mi nie dali. Gdybym powiedziała to memu mężowi, znów zaczęłby mi dokuczać niepraktycznością mej matki.

Nie wychodzę z domu i czekam „pierwszego”, ażeby z owej pensji kupić sobie jakie takie buciki.



21 marca

Jak dziś wieczorem jest ślicznie na dworze! Nagle wiosna zapachniała. Nie tak jak na wsi, u ciotki mojej, ale choć chwilę mam złudzenie, że to już słońce powraca. Taka jestem chora od jakiegoś czasu. Nie wiem, co mi jest, chwilami zdaje mi się, że umieram. Nie mówię o tym Julianowi, bo czuję, że coraz bardziej jest mi obcy i ja oddalam się od niego. On żyje swoim własnym życiem i ja muszę się pogodzić z tą myślą, że powinnam sobie zbudować swoją własną egzystencję. Zresztą Julian wychodzi coraz częściej wieczorami, widuję go tylko przy stole. I wtedy nie mamy o czym rozmawiać.

Ja zawsze siedzę wystraszona, patrząc, czy mu jedzenie smakuje, a on je z przymkniętymi oczami i jest wtedy podobny do chińczyka porcelanowego, który kiwa głową za sklepową szybą. Całe szczęście, że Julian nie wchodzi do kuchni nigdy i nie widzi „kawalera” Anieli. Wypędziłby ją i jego. Mam z tym kawalerem kłopot, bo on się na dobre zainstalował w kuchni. Przyniósł swoją harmonię i wczoraj sprowadził jeszcze jakiegoś kamrata. Chciałabym powiedzieć Anieli, że to mi się nie podoba, ale nie mam odwagi. Chciałabym choć na chwilę zapomnieć o Anieli, o obiadach, o Julianie, pieniądzech, cielecinie i praniu.

Tak mi się serce z piersi wyrywa, tak za czymś tęsknię, a sama nie wiem za czym. Otworzę okno i posiedzę trochę przy nim. Odetchnę i pomyślę...

Ach! Jakie ładne gwiazdy!



W godzinę później

Patrzyłam tak długo na gwiazdy, aż mi się pan Adam przypomniał. Pan Adam i pozostałe po nim pamiętki. Poszłam do komody, wyjęłam szkatułkę, przyniosłam do okna i znów poruszyłam tę małą mogiłkę serca mego. Wyjęłam kawałeczek zeschniętego chleba, a raczej placka, i cała scena stanęła mi w pamięci.

Poszliśmy z panem Adamem na przechadzkę. Moje kuzynki pozostały w tyle, my szliśmy szybko – umyślnie, aby zostać sami. Była wiosna tak jak dzisiaj. I chłodno było i ciepło zarazem. Pamiętam, że miałam na sobie granatową sukienkę, trochę krótką i zniszczoną, a na głowie białą włóczkową chusteczkę. On był w kożusku szarym, okładanym czarnym barankiem i zapiętym na pętlice.

Tak mu w nim było ładnie!

Doszliśmy do skraju lasu, tam, gdzie zaczynały się chaty kolonistów niemieckich. Trzymaliśmy się oboje za ręce jak dwoje dzieci. Nie mówiliśmy do siebie nic, ale zacisnęliśmy mocno swe dłonie tak, jakbyśmy się już na całe życie rozstać mieli. Pić mi się chciało.

On zaprowadził mnie do jednej z chat świeżo wykończonych. Pełno wiórów leżało jeszcze na ziemi. Wewnątrz podłoga jeszcze nie była ułożona.

W chacie znajdowała się Niemka w barchanowym kaftanie, młoda jeszcze, ale bardzo mizerna, i kilkoro drobnych dzieci.

Podawała nam wody, patrzyła na nas przez chwilę w milczeniu, a potem nagle zaczęła płakać:

Zapytałam ją o przyczynę łez.

Długo odpowiedzieć nie chciała, wreszcie zdecydowała się na odpowiedź. Przykro jej było, że nie ma czym nas poczęstować, ale mleko nawet musiała sprzedać, tak ciężko im było na tym dorobku i karczunku. Ma w domu tylko kawałek placka, ale zeschnięty i niedobry.

Upiekła przedwczoraj dwa placki, jeden dała krowie, drugi rozdzieliła pomiędzy dzieci. Został się kawałeczek, ale ona nie śmie go ofiarować.

Oboje poprosiliśmy o ten placek. Niemka przyniosła go natychmiast i podała nam wśród łez. Podzielił się nim jak opłatkiem i każde z nas schowało swoją część na pamiętkę tej chwili.

I oto teraz leży przede mną ta okruszyna czarna, biedna, a przecież już teraz lękam się wyznać, jaka dla mnie droga. Julian żyje swoim życiem – ja moim!

To zabawne jednak.

Mam niespełna dwadzieścia lat, a już zaczynam żyć „wspomnieniami”.

Czy to wszystkie młode mężatki tak żyją, w tak krótkim czasie po ślubie?

A potem przypomniało mi się jeszcze, że wtedy ja bardzo lubiłam tę Niemkę. Kuzynki moje mówiły, że Niemców trzeba nienawidzić.

Ale pan Adam odparł natychmiast:

– To nie była Niemka, to była tylko bardzo nieszczęśliwa i głodna kobieta.

A ja nie rzekłam ani słowa, ale uścisnęłam mu rękę, bo myślałam tak samo, jak on w tej chwili myślał...

A gdybym poszła za tego biednego posesora, czy mielibyśmy każde swe odrębne życie?

Jak cicho na ulicy!

Z daleka tylko turkocze dorożka... Jak ja się powoli zmieniam. Coś we mnie zamiera i okrywa się coraz grubszą, kamienną powłoką. Nawet ten dzienniczek już inaczej pisać teraz zaczynam...



22 marca

Przypomniałam sobie znów, że mogę czytać nieprzyzwoite książki. Idąc ulicą Marszałkowską, znalazłam kilka małych żydowskich sklepików z książkami. Przejrzałam kilkanaście tomów francuskich powieści, bo w Kurierze jeden pan z krytyki pisze, że co francuskie to nieprzyzwoite. Wszystkie książki były porwane i wiele brakowało kartek. Znalazłam dwa tomy powieści Paul de Kock'a pod tytułem: „Żona, mąż i kochanek”. Nabyłam te dwa tomy za dwa złote i idąc do domu, kupiłam sobie dwa pączki czekoladowe z kremem. Wyprawię sobie bal. Położę się wcześniej do łóżka, najem się ciastek i będę czytać tego Kock'a. Słyszałam o nim zawsze, jak o czymś strasznym. Przynajmniej dowiem się, co to takiego.



23 marca

Nie dowiedziałam się, kto to jest Paul de Kock, nie jadłam ciastek, nie wyprawiałam sobie balu. Kawaler Anieli upił się, przyszedł do kuchni, zbił Anielę, a mnie nawymyślał. Bardzo się przestraszyłam i spłakałam. Szczęściem, że Juliana nie było w domu. Powinnam Anielę oddalić, ale już nie mam odwagi iść do kantoru.

Co tu zrobić?



4 kwietnia

Kupiłam sobie buciki i świeże rękawiczki. Widziałam w sklepie u rękawicznika Izę. Wydawała mi się blada, mizerna i smutna. Zapytałam się ją, żartując, czy nie wybiera się za mąż?

Cierpko i opryskliwie odrzuciła:

– Z pannami bez posagu mężczyźni się nie żenią!

Przypomniał mi się pan Adam, który powiedział raz, że nie wzięłby nigdy posagu za żonę – gdyż czułby się wtedy skrepowany i moralnie związany.

Odparłam więc stanowczo:

– Nie wszyscy... są wyjątki!

– A?!

– Tak, ja sama znam jednego młodego człowieka, który powiedział, że ożeniłby się z panną bez posagu.

Iza zmrużyła oczy, uśmiechnęła się ironicznie i wyrzekła:

– Dlaczego pani nie wyszła za mąż za tego fenomena, byłaby pani szczęśliwsza.

Zdawało mi się, że Iza drwi ze mnie i wie o moim, niekoniecznie szczęśliwym, pożyciu z Julianem.

Odparłam więc ze złością:

– Ja, na szczęście, miałam posag i nie potrzebowałam wyczekiwać zmiłowania ludzkiego, a wreszcie, kto pani powiedział, że mój mąż wziął mnie dla posagu?

Ona oderwała wzrok od rękawiczek, które powoli przerzucała, i utkwiała we mnie swe zimne a smutne spojrzenie.

– Mówiłam ogólnie – odparła – pani mąż tu w grę nie wchodził.

Zapłaciłam za rękawiczki i wyszłam, ukłoniwszy się z daleka pannie Troickiej. Ona mnie nienawidzi. Ja to czuję. Ten jad aż bije od niej i mnie mrozi.

Na rogu Chmielnej spotkałam mojego męża. Stał tam i wyglądał, jakby czekał na kogoś. Sądziłam, że jest w biurze. Zobaczywszy mnie, wszedł szybko do handlu winnego. Przy obiedzie nie wspominałam mu nawet o tym spotkaniu. Po co? Niewiele mnie to obchodzi!



10 kwietnia

Z każdym dniem jestem bardziej chora i osłabiona. Mój Boże! Może umrę! Chciałabym umrzeć. Życie nie przedstawia mi się wesoło, ani pociągająco. Taka pustka i ciągle kłopoty.

Mama miała takie same życie i tak się postarzała przed czasem.

Szczęście, że kawaler Anieli przeprosił się z nią i nie pije. A w tym Paul de Kock'u to nie ma nic nieprzyzwoitego, tylko głupstwa i ordynarne koncepty.

Muszę wziąć coś Zoli.

Żeby tak dostać „Nanę” albo co innego.



15 kwietnia

Mam już bardzo mało pieniędzy i nie wiem, jak teraz wybrnąć z tego kłopotu, chyba powiem Julianowi. Niech się dzieje co chce! Wszystkie drobiazgi sprzedałam. Srebra nie mogę z domu wynosić. Z Anielą coraz gorzej się dzieje. Teraz ma już dwóch kawalerów, a niejed-

nego. Ja ciągle udaję, że tego nie widzę, bo cóż innego pozostaje mi zrobić! Dostałam „L'Assomoir” Zoli. Przeczytałam przez jedną noc.

Nie zrobiła na mnie ta książka wrażenia nieprzyzwoitego. Smutno mi tylko było pomyśleć, że ludzie nie z własnej winy są tacy nieszczęśliwi na świecie. Potem długo myślałam, czy to możliwe, żeby było inaczej.

Nie wymyśliłam nic – i poszłam spać.



20 kwietnia

Rezultatem mej odwagi w powiedzeniu mężowi o stanie mojej kasy jest rozkaz ze strony tegoż męża, ażebym codziennie... chodziła z Anielą do miasta!!!



23 kwietnia

Byłam w owym „mieście” i asystowałam przy kupnie półtora funta mięsa na rosół, włoszczyzny za półtorej kopiejki, mąki za sześć i czterech jajek. Anieli najwidoczniej drwiła sobie ze mnie. Przekupki wzruszały ramionami, a ja błąkałam się z Anielą z miną bardzo głupią i z wypiekami na twarzy. Znienawidziłam Juliana i rozumiem teraz, że emancypantki mają rację bytu. Żeby nie to, że podobno koniecznie trzeba włosy obciąć i palić papierosy, to zrobiłabym się emancypantką. Co to za niewola! Co to za tyrania! Kury gdaczą, słomy i błota pełno, ordynarne baby wymyślają, wozy o mało mnie nie rozjechały... i muszę w takim piekle błąkać się pół godziny. I po co?

Anieli tak samo mnie okradnie, czy idę za nią, czy nie, a buciki zniszczę na nic i halkę jedwabną także.



Tegoż dnia wieczorem

Dzisiejszy obiad był jedną sceną. Jajka były nieświeże, legumina była przez to wstrętna. Pieczeń tak twarda, że Pilisch mógłby z niej śmiało zrobić parę nieprzemakalnych podeszew, jego wysokość małżeńska mości Julian z Bożej łaski I-szy otworzył szeroko oczy i wpadł w wielką furję.

Anieli, przywołana z kuchni, oświadczyła z miną pełną naiwności:

– Proszę pana, przecież pani chodziła dziś ze mną na targ!

Umyła ręce i, jak Poncjusz Piłat, poszła do kuchni do kawalera.

Więc Julian otworzył upusty swojej wymowy i żując pieczeń, mówił długo i głośno. Co mówił, nie wiem. Starłam się bowiem myśleć o wszystkim, tylko nie słuchać jego słów. Więc myślałam o wiosnie, o tym, że na wsi musi być rozkosznie w tej chwili, że na wsi nie potrzeba chodzić na targ z panną Anielą, że akacje mają śliczne, delikatne listki, a jaśmin

pachnie pod wieczór czarująco. Potem przypomniałam sobie, jak wyglądały kwiaty, które mi przysłał pan Molicki, i zastanawiałam się nad tym, że są kobiety, które ciągle dostają takie śliczne liliowe wiązanki i żyją w salonach, w których jest dużo kwiatów i pięknych mebli.

Oto Iza wydała mi się odpowiednią do takiego życia. Ona powinna mieć zawsze dookoła siebie same piękne i zbytkowne rzeczy. Iza powinna zostać aktorką albo śpiewaczką. Byłaby wtedy szczęśliwsza niż teraz. I gdy tak myślałam o wszystkim i o niczym, mój mąż, naga-dawszy się do woli, poszedł spać do swego gabinetu.

Ja długi czas siedziałam jeszcze w jadalnym pokoju, taki smutek i lenistwo mnie opano-wały. W głowie mi się kręciło, w uszach szumiało. Zdawało mi się, że umieram. Chciałam, żeby maj prędzej przyszedł. Będę chodzić na majowe nabożeństwa. To takie ładne i tak jakoś dobrze siedzieć tam, w kąciku, koło ołtarza. Bez pachnie, ludzie śpiewają litanię. Można za-pomnieć o świecie całym!



28 kwietnia

Spotkałam wczoraj pana Adama!



2 maja

Od chwili tego spotkania czuję się zupełnie inną kobietą.

Nie wiedziałam o tym, że w głębi mojego serca tyle czułam dla tego człowieka. Gdybym wiedziała, nie poszłabym nigdy za mąż za Juliana.

Spotkaliśmy się na ulicy, o zmierzchu. Szłam przez Chmielną na Nowy Świat, ażeby kupić owczego sera do herbaty dla Juliana. Od rana byłam bardzo niezdrowa, blada, nie miałam sił. Myślałam, że przechadzka mnie uspokoi i trochę ożywi. Szłam więc powoli i nagle na przeciwległym trotuarze dostrzegłam tak bardzo znajomą mi postać pana Adama. Szedł wolno naprzeciw mnie, mając głowę trochę pochyloną i plecy według zwyczaju zgarbione. Ubrany był w jasny garnitur, a twarz jego pod rondem jasnego kapelusza wydała mi się bardzo piękna i bardzo pocziwa.

Tak! To był pan Adam – ten mój pan Adam ze wsi, spod lip, z niemieckiej nędznej chaty. Wszystko to widziałam przez jedną chwilę, bo natychmiast zamknęłam oczy i szłam tak przez sekund kilka jak ślepa, pogrążając się umyślnie w ciemności.

I pomimo moich oczu zamkniętych widziałam, jak on przeszedł ulicą, jak zbliżył się do mnie z wyciągniętą ręką. Podałam mu swoją natychmiast. Przez rękawiczkę poznałam uścisk jego dłoni. Otworzyłam oczy. Byliśmy tak blisko siebie, oboje zmieszani i drżący. W tej chwili zrozumiałam moją pomyłkę.

To my dwoje – byliśmy dla siebie przeznaczeni. I potem nie mogliśmy znaleźć odpowied-nich słów, ani on, ani ja. On zapytał mnie bardzo cicho:

– W którą stronę pani idzie?

Ja równie cicho odparłam:

– Na Nowy Świat.

– Mogę pójść z panią?

– Chodźmy!

Poszliśmy oboje, jedno obok drugiego – rozdzieleni na zawsze! Na zawsze!

Myślałam o tym bezustannie.

On coś mówić zaczął. Nie słyszałam dobrze jego słów, bo wyszliśmy na Nowy Świat, do-
rożki turkotały, a przy tym w głowie mi dziwnie szumiało. Usiłowałam być spokojna i uśmie-
chać się, ale męczyło mnie to natychmiast, więc dałam pokój i szłam już tak jak we śnie, po-
trącana i popychana przez przechodniów. Wiem nawet, że zdobyłam się kilka razy na odpo-
wiedź – jaką... nie pamiętam! Weszliśmy w aleje Jerozolimskie i on umilkł, przestał mówić
zupełnie, tylko szedł obok mnie wolno, a mnie się zdawało, że to mój własny cień, druga ja –
którą na chwilę straciłam i odzyskałam na nowo.

Doszliśmy tak do rogu Marszałkowskiej, a serce mnie tak bolało, że iść dalej nie miałam sił.

Zatrzymaliśmy się na chwilę, on sądził widocznie, że chcę, aby sobie poszedł, bo stanął
także i wyciągnął ku mnie rękę.

– Trzeba nam się rozstać! – wyrzekł cichym głosem:

Nie odpowiedziałam nic. Czy prędzej, czy później, rozstać się nam trzeba było.

– Jaka pani blada, panno Luniu!...

Nazwał mnie „panną Lunią”, tak jak przed laty, tam pod lipami albo w chacie owej głodnej
Niemki. To było dla mnie za wiele. Łzy mi oczy zaćmiły.

On łzy te dojrzał i zawołał nagle prawie głośno:

– Dlaczego pani mnie nie chciała? I nie czekając na odpowiedź moją, odszedł szybko, zu-
pełnie tak, jakby uciekł przed tą odpowiedzią.

A przecież ja nic bym mu nie odpowiedziała.



18 maja

Nie wiedziałam o tym, że można żyć podwójnym życiem.

To ja teraz żyję takim życiem podwójnym. Na pozór zajmuję się wszystkim: ubieram się,
czeszę, dysponuję obiadem, idę z Anielą na ów „targ”, siedzę przy stole razem z Julianem, czy-
tam jakieś książki, ale to wszystko dzieje się „na pozór”. Bo ja naprawdę żyję jakoś niezależ-
nie od tego, co moje ciało i poniekąd dusza robi. Zdaje mi się, że to drugie życie moje odby-
wa się ponad ziemią, nie wysoko, ale zawsze tak, że nieco ma wspólnego z ziemią, do mnie
nie dochodzi. Nie wiem, czyja to dobrze i zrozumiale piszę, ale inaczej tego określić nie
umiem. I w tym drugim życiu widzę ciągle pana Adama i słyszę, jak do mnie mówi, „panno
Luniu”. Mój mąż zupełnie przestaje istnieć dla mnie, a gdy siedzi przy stole, to zupełnie tak,
jakby go nie było.



20 maja

Chodzę do miasta z Anielą, ale znalazłam sposób, ażeby się pomiędzy przekupkami nie
włóczyć.

Wychodzimy z domu razem i dochodzimy tak do placu Św. Aleksandra. Tam Aniela idzie
kupować, a ja wchodzę do kościoła. Siadam przy ołtarzu Matki Boskiej i pozostaję tam tak
długo, aż Aniela po mnie przyjdzie.

Ona sama mi to zaproponowała, bo widziała, że mnie chodzenie na targ męczy, a Julian mi to robić każe. Lubię bardzo siedzieć tak w kąciku, na stopniach konfesjonału, i patrzeć, jak przed ołtarzem kolejno klękają służące z koszykami i rozmaite biedne kobiety. Jak one się ładnie modlą!

Tak serdecznie, tak gorąco! Patrzą w obraz Matki Boskiej jak w tęczę i widać, że bardzo serdecznie wierzą.

Ja nie umiem się tak modlić.

Mnie teraz zanadto smutno, zanadto ciężko zaczyna się w życiu robić, ażebym mogła przyjść i uklęknąć tak jak te kobiety, i szeptać pacierze.

Ja tylko siedzę w kąciku i patrzę na ołtarz, na masę kwiatów, na lilie, które wykwitają z niebieskich wazoników, i czuję, że mi w sercu budzi się jakiś bunt, jakiś straszny żal za to, że mi się życie tak zmarnowało i teraz jest przede mną jak zamknięta ulica.



28 maja

Widziałam wczoraj na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych pana Molickiego. To, co mnie od niego spotkało, nie zdziwiło mnie nawet wcale. Czuję, że powinnam się była oburzyć, rozgniewać... A nie mogłam! Zaproponował mi schadzkę po prostu. Powiedział, mrużąc dziwnie oczy:

– Czy nie lubi pani jeździć wieczorami po Alejach? Odparłam, że wieczorami nie wychodzę w ogóle nigdzie i że spacer po Alejach jest przyjemny, ale przeważnie we dnie.

Zaczął się śmiać i dodał:

– Wieczorem bardzo miło – ale we dwoje.

Odparłam zaraz, choć czułam, że mówię głupstwo:

– Mój mąż wychodzi przeważnie sam wieczorami.

I zaraz posłyszałam szept:

– Któż mówi tu o mężu?

Chciałam dalej udawać, że nie rozumiem, ale jestem tak rozdrażniona i czuję, że apatia moja zaczyna się zamieniać powoli w stan bezustannego zdenerwowania.

Wzruszyłam więc ramionami i wyrzekłam, chcąc przerwać tę niemiłą rozmowę:

– Daj pan pokój, nie jestem usposobiona do słuchania czegoś podobnego! – Lecz on natchemsiast się obraził i stał się zuchwały:

– Cóż to? Nie można z panią pożartować? Przyjaciółka pani nie jest tak *collet monte*, jak pani.

– O jakiej przyjaciółce pan mówisz?

– Och!... o *wspólnej* państwa obojga przyjaciółce... o pannie Izie!

– O Izie!

– Tak, z nią rozmawiając, nie trzeba tak bardzo liczyć się ze słowami. O! Panna Iza...

Urwał i, patrząc teraz na mnie ze złością i, doprawdy, z pewnego rodzaju pogardą.

A mnie robiło się głupio, zupełnie tak, jakbym postąpiła bardzo źle i po prostu popełniła jakiś czyn zły i karygodny. Ale zebrałam wszystką odwagę i odpowiedziałam, patrząc mu prosto w oczy:

– Nie rozumiem, dlaczego pan nazywa Izę moją przyjaciółką?

– Och, mój Boże!... – odparł, krzywiąc się jeszcze bardziej – *qui se ressemble s'assemble*.

A choć panie różnicie się na punkcie drażliwości pod względem form towarzyskich, jednak co do gustów i upodobań zgadzacie się najzupełniej. Na przykład co do pojmowania piękności mężczyzn...

Zmienił głos i po chwili dodał:

– Mąż pani jest bardzo pięknym mężczyzną!

Zaczerwieniłam się, bo sens słów tego człowieka, jakkolwiek nie bardzo dla mnie zrozumiałe, jednak widocznie był obrażający. Czułam to po tonie, w jakim do mnie mówił. Zresztą natychmiast dodał:

– Co do kwiatów... macie panie także te same gusty. Lubicie anonimowe przesyłki irysów! Krew mi uderzyła do głowy.

Ten mężczyzna, robiący ze złości aluzję do przysłanych mi przez siebie kwiatów, wydał mi się głupi, nędzny i nikczemny. Chciał mnie w ten sposób upokorzyć i zemścić się na mnie za to, że nie chciałam przystać na jego brutalną propozycję. Nie odpowiedziałam mu ani słowa i odeszłam. Przedtem jednak spojrzałam mu prosto w oczy. Wydał mi się bardzo przystojny, ale zarazem i bardzo nikczemny w tej chwili.



2 czerwca

Zaczynam coraz częściej zastanawiać się nad słowami Molickiego i rozbierać ukryte znaczenie tych słów.

Czyżby Iza kochała się w moim mężu? Jeżeli tak...



8 czerwca

Aniela wskutek mego kłamstwa, którego jest współniczką, tyranizuje mnie po prostu i jest panią domu. Pozwalam jej na wszystko, bo nie chcę, ażeby Julian dowiedziawszy się, w jaki sposób chodzę „do miasta”, zrobił mi scenę. Za żadne bowiem skarby sceny teraz nie zniosę. Zdaje mi się, że mogłabym zrobić sobie coś złego, wyskoczyć oknem, roztrzaskać sobie głowę o ścianę.

Tyle bowiem rozpacz nagromadziło się w mojej piersi, że się cała nią dławie. Nienawidzę po prostu Juliana. Ciągle myślę o panu Adamie. Jestem wprost pewna, że pomiędzy Izą a moim mężem jest „coś”. Teraz zaczynam sobie wszystko przypominać i zdaje mi się, że się nie myślę...

Chciałabym, ażeby tak było. Nie miałabym wtedy żadnych wyrzutów sumienia, że tak ciągle myślę o panu Adamie.

Ach! Gdybym miała pewność!



15 czerwca

Ta chęć dowiedzenia się „wszystkiego” zaczyna u mnie po prostu przechodzić w manię. Wstaję rano z tą myślą i zasypiam. Może jest to wynikiem mojego chorobliwego usposobie-

nia, nie wiem, ale pragnę dowiedzieć się prawdy za jaką bądź cenę. Czytałam dziś książkę „Autour de divorce” Gyp'a. Tam mówią o rozwodzie, ośmieszając ten przedmiot. Dla mnie była to wielka jasność i zdawało mi się, że znalazłam punkt wyjścia. Całą noc dzisiejszą snułam najpiękniejsze plany. Rozwieść się z Julianem i wyjść za pana Adama. Wszakże ja znieść nie mogę mego męża już teraz! Cóż to będzie później? Czy nie lepiej rozwieść się od razu, kiedy jeszcze jesteśmy młodzi? Niech on się żeni z kim innym, na przykład... z Izą.

Och! Gdyby to można było się rozwieść!



25 czerwca

Och! Gdyby to można było się rozwieść!... Od dni dziesięciu myśl ta wpiła mi się w mózg i na chwilę mnie nie opuszcza. W nocy porywa mnie szaleństwo. Serce mi bije jak młotem, zrywam się, siadam na łóżku i ciągle te słowa „rozwód, Iza, pan Adam” ognistymi zgłoskami skaczą przede mną w ciemności. Słyszę chrapanie Juliana, a ten głos powiększa jeszcze moje zdenerwowanie. Muszę się rozmówić z mymi rodzicami.

Oni mnie za mąż wydali, niech oni mnie z tych pęt uwolnią. Inaczej czuję, że stanie się coś okropnego.



26 czerwca

Nie miałam w domu ani grosza i zaniósłam do lombardu srebra na sześć osób.

W lombardzie spotkałam mamę, która zastawiała srebra na dwanaście osób.

Miała bowiem być duża Czerwcówka, w Jabłonnie, przed wyjazdem mamy i sióstr do Krynicy.

Obie zaczerwieniłyśmy się, zobaczywszy się z tłumoczkami pod pachą. Mama chciała widocznie zrobić mi jakąś uwagę, ale zastanowiła się i dała spokój. Dobrze się stało, bo mogłam wybuchnąć płaczem, rzucić srebro o ziemię i uciec na ulicę jak szalona. Są teraz chwile, w których się sama siebie boję. Zbuntowało się we mnie wszystko: i dusza, i ciało, i serce. Nie chcę być więcej biernym narzędziem, jakimś pionkiem na szachownicy. Posuwa mną każdy od urodzenia mego: rodzice, guwernantki, teraz mąż, a wreszcie własna sługa. A wszystkiemu winna moja zależność materialna. Dlaczego ja nie mam *moich* pieniędzy w *moich* rękach? Gdybym miała żyć z czego, natychmiast poszłabym w świat – ot, gdzie oczy poniosą...

Tam może spotkałabym się z panem Adamem, dostałabym rozwód i mogłabym być szczęśliwa.

O Boże wielki! Szczęśliwa!



28 czerwca

Julian spostrzegł brak srebra i natychmiast bez namysłu napadł na Aniełę, chcąc ją aresztować jako złodziejkę. Musiałam mu powiedzieć całą prawdę. Opowiedziałam ją nawet z pewnego rodzaju ulgą i radością. Z początku tak był zdziwiony i przerażony, że do słowa przyjść nie mógł. Potem rzucił się do swego biurka, gdzie zamyka swoje szpilki, spinki, łańcuszki, porte cigares, i zaczął przeglądać, czy mu czegoś nie brakuje.

Zobaczywszy, że wszystko jest w porządku, wyleciał, jak opętany, na miasto. Do mnie nie przemówił ani słowa. Prawdopodobnie poleciał do moich rodziców.



29 czerwca

Dziwię się sama sobie, z jakim spokojem znoszę to, co mnie spotkało. Julian, powróciwszy do domu, zapowiedział mi, że od tej chwili nie ja będę mieć w ręku pieniądze „na wydatki” tylko on sam. Zawołał Aniełę i zrobił z nią rachunek. Aniela poddała się tej operacji, ale po ukończeniu owego rachunku – podziękowała za służbę. Siedziałam w kącie i pomyślałam sobie: mój Boże! Dlaczego to ja nie mogę memu mężowi podziękować za służbę?

Czym ja właściwie jestem dla tego pana w przydeptanych pantoflach, który zabrał mi moją wolność i pieniądze, jeżeli nie prostą „sługą”?

Gdy byłam panną, to wszystkie narzekania kobiet na nasz los wydawały mi się przesadne. Ale teraz widzę doskonale, że to prawda. Małżeństwo jest piekłem, skoro dwoje takich, jak ja i Julian, zejdzie się i pobierze. Co z tego za pożytek?

A nam taka straszna męka!



1 lipca

A jednak jest rada na ten stan rzeczy, który dłużej trwać nie może: – rozwód! rozwód!

I znów wracam do tej myśli, jak do zbawienia. Podobno jednak rozwód kosztuje dużo pieniędzy, a czasem nawet, pomimo pieniędzy, niepodobna go uzyskać.

Dlaczego?

Rozwód powinien tyle kosztować co ślub.

Dlaczego zakucie ludzi w pęta jest tańsze niż rozkucie tych pęt? I tu i tam wolna wola ludzka działać powinna. W dodatku trzeba mieć do rozwodu „powody”. Słyszałam, jak dawniej jeszcze u rodziców moich mówiono, iż jedna ze znajomych pań nie mogła dostać rozwodu, bo nie miała „powodów”. Podobno nie mogła znieść swojego męża i on nie cierpiał jej wzajemnie – ale to wszystko nie były dostateczne „powody”.

Wiem, że trzeba, ażeby mąż albo żona zdradzili jedno drugie.

Jestem przekonana, że mój mąż widuje się z Izą, ale to nie jest „zdrada” podobno według rozwodowych wymagań. A zresztą, jakże tego dowieść? Skoro już będę miała jakieś dowody, wtedy pójde zobaczyć się z ojcem. Inaczej, wiem co mi powie:

– Czego chcesz od swojego męża? Najuczciwszy człowiek, nie pije, nie pali, w karty nie gra, oszczędny, z dobrej rodziny, przystojny, młody, pracowity. Nic mu nie mamy do zarzucenia! – Ale ja? Ja? Wszakże ja mu mam do zarzucenia to życie podwójne, to życie w więzieniu wspólnym, przedzielonym tylko kratą. Tylko ja mam przecucie, ja instynktownie rozumiem, że mój mąż od czasu do czasu otwiera swoje więzienie i wydostaje się na wolność. A ja mam już pozostać w swojej klatce... do śmierci! Nie–nie–otóż w niej nie pozostanę!



6 lipca

Byłam wczoraj u swoich rodziców na chwilę, umyślnie, ażeby wtrącić do rozmowy cośkolwiek o rozwodzie.

Mój ojciec natychmiast się oburzył i zawołał:

– Co Bóg złączył, to powinno pozostać złączone!

Zamilkłam i nie wszczynałam więcej tej rozmowy. Gdy będę miała „powody”, to i ojciec zmieni swoje zdanie.



8 lipca

Mam powody!

Drzę jeszcze cała. Przyjść do siebie nie mogę. Spełniłam czyn karygodny, ale ocaliłam swoją własną swobodę i swoje szczęście. Dostanę rozwód, pójde za pana Adama! Będę mieszkać na wsi! Będę wstawać równo ze słońcem, będę wesoła, będę szczęśliwa!

Wczoraj, podczas gdy mój mąż mył się w sypialni, weszłam do jego gabinetu. Na biurku leżał pęk kluczy, które on zawsze nosi przy sobie. Wiem, że jednym kluczykiem otwierają się trzy górne szuflady. W tych szufladach jest dużo jakichś listów. Mój mąż zamyka je pośpiesznie gdy wchodzę. Nie mogłam się oprzeć pokusie. Drżąc cała jak w febrze, zbliżyłam się do biurka i zdjęłam kluczyk z kółka. Schowałam go do kieszeni i uciekłam do jadalni.

Policzki mi płonęły, a w sercu czułam ból. Wreszcie mój mąż wyszedł i ja pozostałam sama. Długo nie mogłam zdecydować się podejść do biurka i otworzyć szufladki. Myśl o panu Adamie dodała mi odwagi. I rzecz dziwna: zdawało mi się, że ktoś kieruje moją ręką. Zaraz natrafiłam na szufladkę, w której na dnie, poprzykrywane Kurierami, leżały listy rozmaitych kobiet. Zaczęłam szukać listów Izy. Znalazłam je porzucane, pomieszane z innymi. Poznałam, że to były od niej, bo wszystkie były w jednakowym bladozielonym kolorze, z dużym monogramem złotym w rogu, niektóre miały koperty. Żaden nie był podpisany. Zaczęłam je czytać. Przekonałam się, że mój mąż i Iza „kochali się” jeszcze przed naszym ślubem. On nie ożenił się z nią dlatego, że ona nie miała posagu! Ożenił się ze mną, bo ja miałam czternaście tysięcy rubli.

Oto co pisze Iza, dowiedziawszy się o jego zaręczynach:

„Żenisz się, – żenisz się „dla sytuacji”, jak powiedziałeś do mnie wczoraj. Ale zastanów się, że to już na całe życie i że ja nigdy nie zgodzę się nawet zobaczyć z Tobą, tak bardzo cierpię wskutek Twojej nikczemnej zdrady”.

A jednak zgodziła się widywać z nim później i to nawet dość często.

Czytałam te listy jeden po drugim, z całą przyjemnością umysłu. Odkładałam na stronę te, które mogą mi być użyteczne, to jest pisane już po ślubie. Szczególnie jeden z nich, pisany przed owym balem, wyświecił mi całą sytuację:

„Skłoń ją (to niby... mnie), ażeby bezwarunkowo poszła ze mną na bal. Dzięki Panu straciłam moją dobrą sławę i naraziłam się na plotki. Może uda się nakazać milczenie ludziom, jeżeli zobaczą, że żyję w dobrym porozumieniu z Pańską żoną. Dlatego żądam i proszę, ażebyśmy razem z nią na ten bal pojechały”.

Kilka z tych listów oburzyło mnie do głębi. Iza widocznie szydzi ze mnie i daje mi dziwne miana. Niekczemna to istota, zepsuta do gruntu, bez czci i wstydu! Ani na chwilę nie zawaham się okazać jej hańby publicznie. Niech się wszyscy o tym dowiedzą. Wszyscy! Mój mąż! Człowiek żonaty! Przed ślubem nie mówię. Co mi do tego. Ale po ślubie... jakim prawem pisze ona w ten sposób do mego męża?

Bądź co bądź, to jest zawsze mój mąż!... Zabrałam listy Izy i schowałam je u siebie w komodzie.

Z innych listów przeczytałam tylko karteczkę, nieortograficznie pisaną przez jakąś szwaczkę, i miałam dosyć.

Zamknęłam szufladkę, klucz założę jutro na kółko i pójdę z tymi listami do moich rodziców.

Dostanę rozwód i pójdę za pana Adama!



16 lipca

Nie dostanę rozwodu... Nie pójdę za pana Adama! Mój wielki Boże!... zlituj się nade mną!...



18 sierpnia

Uspokoiliam się zupełnie.

Ale kosztowało mnie to dużo, dużo nerwowego wysiłku i dużo mojej biednej woli. Dziś już jestem zupełnie inną kobietą. Poddałam się memu losowi. Widzę, że inaczej być nie może. Będę żoną Juliana i matką jego dziecka!



20 sierpnia

Oto jak się stało z owymi listami i z tym rozwodem. Wzięłam listy Izy ze sobą i poszłam do moich rodziców. Kończyli właśnie obiad i sprzeczali się bardzo, bo ojciec nie dał mamie

dosyć pieniędzy na wyjazd do Krynicy i mama nie mogła posprawić sobie i siostrą dostatecznej ilości sukien, pomimo, że pozostawiała wszystko, co było w domu kosztowniejszego.

Jedli więc moi rodzice szarlotkę i bardzo się ze sobą sprzecznali.

Ja przyszedłam bardzo wzruszona, ale zdecydowana najzupełniej przedstawić swoją sprawę serio, stanowczo i postawić w ten sposób kwestię jasno i wyraźnie. Zaciskałam więc w rękę paczkę z listami Izy i czekałam sposobnej chwili, ażeby wybuchnąć i powiedzieć wszystko, co przez tyle czasu zebrało mi się na sercu.

Ale ojciec ciągle się gniewał i zaczął wołać:

– Po co masz jechać do Krynicy? Jedź do Otwocka. I tak w Krynicy nie ma przyzwoitych konkurentów. Już jeżeli postanowiłaś dziewczęta wywozić na targ, to przynajmniej wieź tam, gdzie jest najlepsze targowisko na panny.

Mama nie odpowiedziała na razie ani słowa, ale widziałam, że gniew ją dusił i dławił. Patrzyłam na nich oboje, kiedy tak siedzieli naprzeciwko siebie, pełni gniewu i złości, i pomyślałam sobie, że w małżeństwie można być tylko przyjaciółmi albo... wrogami. I ogarnął mnie przestach na tę myśl, że ja mogę tak kiedyś siedzieć naprzeciw Juliana z nienawiścią w sercu i gniewnymi słowami na ustach. Podniosłam się z mego krzesła z zamiarem zabrania głosu, gdy nagle mama mi przerwała, mówiąc:

– Wolę jeździć do Krynicy i miejsc cywilizowanych, niż kołatać się po letnich mieszkaniach albo u ciotki na wsi.

– Zapewne – odparł ojciec – ty wolisz, bo to mnie więcej pieniędzy kosztuje. Sto razy jednak lepiej mogłabyś wydać dziewczęta za męża na wsi niż w Krynicy.

Mama uśmiechnęła się ironicznie.

– Śliczni konkurenci... posesorowie, może znów jakiś pan Adam!

Zarumieniłam się gwałtownie. Serce bić mi zaczęło bardzo szybko.

– Pan Adam! – powtórzył mój ojciec. – Widocznie pan Adam nie był taką złą partią... skoro zaręczył się z panną Trzcińską z Hroszówki i żeni się z nią jesienią. Panna Trzcińską ma okrągłe trzydzieści tysięcy rubli...

Mama coś jeszcze odpowiedziała, ale ja już nie słyszałam jej stów. Wiem tylko, że mi było bardzo zimno i że to uczucie chłodu nie opuściło mnie aż do tej chwili.

Nie wspomniałam nic o rozwodzie, poszłam do domu, trzymając ciągle listy Izy w rękę.

I co teraz?

Wszak dla mnie się już wszystko skończyło!



24 sierpnia

Nie napisałam najważniejszej dla mnie nowiny.

Mam zostać matką...

I jestem tak smutna, że nie wiem, czy mam się cieszyć, czy smucić tą myślą. Nie wiem, jak się mam teraz zachowywać. Nauczylili mnie na pensji wszystkiego, ale nikt nie powiedział, co kobieta powinna robić, aby tak ona, jak i dziecko, były zdrowe. Chciałabym pójść do księgarni i kupić sobie jakąś książkę na ten temat, ale się wstydzę. Chyba pošlę posłańca, ale zakażę mu, aby do kartki, którą mu napiszę, nie zaglądał pod żadnym pozorem.



26 sierpnia

Julian wiadomość o dziecku przyjął niechętnie. On widzi tylko powiększenie wydatków. Mnie teraz już wszystko jedno. Dniami całymi siedzę i czytam listy Izy. Dziwna rzecz, jak one mnie zajmują. Zdaje mi się, że jestem na jakiejś sztuce w teatrze i sama w niej biorę udział. O panu Adamie staram się myśleć, jak o kimś bardzo mi drogim, który umarł.

Wczoraj chciałam spalić pozostałe po nim pamiątki, ale nie miałam siły. Uczynię to w dniu jego ślubu.



29 sierpnia

Stanowczo Iza nie była i nie jest złą do gruntu istotą.

Ona jest tylko bardzo nieszczęśliwa.

Cóż ona temu winna, że kochała się w moim mężu, a on nie mógł, czy nie chciał się z nią ożenić? Ja miałam posag, więc wyszłam za męża. Iza posagu nie miała i dlatego cierpiała i cierpi. Cały mój gniew i złość przeciw niej niknie z każdym dniem. Wtedy, gdy mój mąż żenił się ze mną, Iza musiała być tak smutna i nieszczęśliwa, jak ja jestem nieszczęśliwa i smutna na myśl, że pan Adam żeni się z panną Trzecińską. Ja mam inny charakter, więc ukryję swój żal w głębi mojej duszy, a Iza pisze do mego męża rozpaczliwe listy, mając nadzieję, że go ku sobie zwrócić jeszcze potrafi. Biedna Iza. Ile ona nocy bezsennych spędzić musiała, a ile ma jeszcze teraz chwil ciężkich do przetrwania!

Gdyby ona wiedziała, że ja jej serdecznie żałuję i jak ja jej cierpienie rozumiem... Och, jak rozumiem!



20 września

Nie pisałam dawno. Jestem chora i dręczona najgorszymi przeczuciami. Jestem pewna, że umrę. Dnie całe spędzam w domu leżąc ubrana na łóżku. Nie mam ani siły ani chęci do niczego. Cierpię bardzo fizycznie i moralnie.

Na jesieni! Ojciec powiedział, że ślub pana Adama odbędzie się na jesieni.

Ja widziałam kiedyś tę pannę Trzecińską w katedrze w Łucku na sumie. Była ubrana bardzo elegancko, biała i miała dziwny słomiany kapelusz. Wydała mi się dość przystojna, tylko już nie bardzo młoda. Czy pan Adam żeniłby się także dla posagu? O nie – to niepodobne!

Niech wszyscy tak postępują – tylko nie on! Nie on!

A jednak wolałabym może, ażeby nie miłość, ale interes powodował tym razem jego wyborem. Bo ciężko mi znieść myśl, że *ona* może być przez *niego* kochana.

Cieżko? A przecież Iza taką myśl zniosła. Nie – ona mogła tylko „przypuszczać”, ale nie być pewną. Bo ja nie przedstawiam wcale kogoś – kogo kochać można...

Nawet pan Adam mnie nie kochał, bo gdyby mnie kochał... czyż byłby się zaraz z inną żenił?



25 września

Całe noce nie śpię, leżę z otwartymi oczami i myślę o śmierci. Jestem tak pewna, że umrę, iż bezustannie widzę swój pogrzeb, moich rodziców i siostry w żałobie, słyszę śpiew księży *Salve Regina*.

Zimny pot mnie okrywa, a mimo to czuję wielką ulgę na myśl, że umrę, że cierpieć przestanę, że odpocznę pod ziemią, gdzie musi być cicho i spokojnie.



4 października

Wczoraj napisałam testament.



5 października

Testament mój brzmi jak następuje:

Moja ostatnia wola. Życzę sobie i proszę, ażeby wszystko, co posiadam, to jest mój posag i moje nieruchomości, były rozdane w ten sposób: zegarek z dewizką siostrze mojej Loci; kolczyki turkusowe siostrze mojej Koci; bransoletkę szmaragdową (która jest w zastawie, kwit jest w pudełku pod bielizną) siostrze mojej Melci. Wszystkie moje suknie i bieliznę kuzynce mojej Felce. Dwie szkatułeczki, które są w komodzie, proszę ze mną włożyć do trumny. Ponieważ jestem pewna, że i moje dziecko żyć nie będzie, więc w razie śmierci nas dwojga cały mój posag zapisuję pannie Izie Troickiej z warunkiem, ażeby po upływie roku i sześciu tygodni od czasu mojej śmierci wyszła za mąż za mojego męża. Jeżeli tego nie zrobi, niech cały mój posag powróci do rąk mojego ojca.

I podpisałam się.

Nie wiem, czy to dobrze i prawnie napisane, ale nie chciałam się nikogo radzić, bo po co ludzie mają wiedzieć?

Niech Iza przynajmniej będzie szczęśliwa.

Nareszcie się jej to należy.

A teraz jestem spokojniejsza. Zamykam mój dzienniczek. Nie zniszczę, niech zostanie po mojej śmierci. Może moi rodzice go przeczytają i dowiedzą się, że ich córka była bardzo nie-szczęśliwa. Jestem przygotowana na śmierć i czekam jej przybycia.



Luty roku następnego

Nie umarłam! Nie umarłam! Mam śliczną córeczkę, z włosami i oczkami jak u woskowej lalki. Ja urosłam, utylam i wyładniałam. Testament podarłam i wstydę się sama przed sobą mojej głupoty. Dostałam od ojca na urodziny Anielki tysiąc rubli i teraz mam święte życie.

Julian jest o wiele przyjemniejszy, bo mu o pieniądze głowy nie suszę. Zresztą, wychodzę teraz dużo. Chodzę na spacer. Zaznajomiłam się z jedną młodą mężatką, która mieszka obok nas. Bardzo wesoła i miła kobieta. Umie się ubrać i mnie dodaje gustu. Wczoraj spotkałam Iżę. Wydała mi się żółta i brzydka. Ja wyglądałam bardzo szykownie w nowej pelerynie i dużym kapeluszu z szafirowymi kokardami. Ukłoniłam się pannie Troickiej lekko i protekcyjnie.

Widziałam, że była zdziwiona...

Zimę mamy wspaniałą. Słońce świeci często, sanki dzwonią. Jest na świecie jeszcze ładnie i wesoło. Julian zubożętniał mi zupełnie. O panu Adamie myślę bardzo rzadko, jak o kimś, kogo mało znałam w życiu.

Byłam głupia, biorąc życie z tragicznej strony. Głupia i nudna. Idę na ślizgawkę...